

# DZIS: JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 12 stycznia 1947


 c/w 9013 Nr 2 (59)

**TREŚĆ NUMERU:** J. Meyszłowicz — Uwagi o propagandzie, M. J. Kononowicz — Kompas, St. Rembek — Wyrok na Franciszka Kłosa, H. Jakóbczyk — Poeta, St. K. Rostworowski — O gen. Chłapowskim słów kilka, W. Bak — Dwaj poeci, Wilk — Szeroki Horyzont — Kieszonkowa demokracja, J. Kawecki — Spór o Penelopę.

Jan Dobraczyński

## Święty Kościół Powszechny

**W** MOMENTACH zagnienia walki politycznej dobrze jest wrócić myślą do założeń ideowych naszej wiary. Mówię wiary — bo my katolicy mamy i powinniśmy mieć odwagę wyznania głośno, że nasz ideał życiowy, nasz pogląd na świat nieodmiennie opiera się na wierze. Wiara jest pierwszym jego ogniwem — miłość ostatnim. Pomiedzy wiara, bez której nic nie ma, nadzieją, będącą elementem wiecznej aktywności i miłością, zamyka się wszystko, czym chcemy żyć i co chcemy stworzyć na ziemi.

Tłumaczenie, czym jest wiara dziś, w epoce psychologii, wydaje się rzeczą niepotrzebną. A przecież nie brak jest głosów, które powiadają, że wiara katolicka jest to bierność przyjęcia za fakt rzeczy najmniej oczywistych, „ułatwienie” sobie podstawy życiowej przez uchylanie się od trudu szukania prawd i rozwiązań.

W samym takim ujęciu zawiera się błąd. Jakżeż człowiek — to „zwierzę myśliczne” — zgodził by się zrezygnować z szukania, gdy właśnie trud szukania jest istotą działalności rozumu? Człowiek musi szukać. Człowiek szuka. Człowiek jednak szukając winien rozumieć, że stan szukania nie może być stanem permanentnym, ale że w końcu trzeba dojść do kresu, który stanowić będzie granicę zasięgu myśli ludzkiej. Genialny mózg Einsteina stworzył koncepcję wszechświata — continuum czasoprzestrzennego — którego granicę tworzy zaginająca się „wokół” materii przestrzeń. Coś analogicznego można by sobie wyobrazić w zakresie myśli ludzkiej: na pewnej odległości od człowieka fala szukająca zagina się i wraca. Czy dlatego jednak, iż dalej sięgnąć nie potrafimy, mamy prawo twierdzić, że już nie tam nie ma?

Zgoda, że istnieje rzeczywistość — tak dobrze każdemu z nas znana — przesuwania wciąż dalej i dalej granicy nie wiadomego. Ale choć ją co wiek przesuwamy, potrzebą nam zerwać z pokusą naiwnego przekonania, iż wyczerpiemy w ten sposób nieskończoność. Przestrzeń wymiarną stwarzamy sobie sami. Poza naszą przestrzeń jest już bezkres. I odkryte lądy na bezkresnej mapie wieczności nie zubażają jej, ani wyczerpują.

Chodzi więc o jedno: o przyjęcie a priori założenia, iż choć ciągle idziemy naprzód, nie wyczerpiemy nigdy naszym waderkiem wody z oceanu. Gdy zechcemy to uznać, wtedy stajemy już na progu wiary. I wszystko inne przychodzi na nas jasno i prosto. Mówi się: katolicyzm nie ma śmiałości spojrzenia. Ale czy może być śmielsze spojrzenie jak to, które widzi nie tylko wszystko znane, ale i wszystko nieznanne?

Dopóki ludzimy się, że granica naszego poznania jest granicą ostateczną, póty żyć umiemy tylko wiecznym niepokojem. Niespokojnym jest bowiem zawsze człowiek, który coś tworząc — maszynę, czy urządzenie — wyobraża sobie, że stworzył rzecz doskonałą. Znamy dobrze uczucia dziecka, które buduje wieżę z klocków, a potem ją nagle przewraca gniewnym pchnięciem ręki, ponieważ nie wyszła ona tak, jak ją nagle przybył myśleć — ona tak, jak ją dziecko sobie wymarzyło. Będzie budować sto wież i każdą będzie burzył, ponieważ żadna nie odpowiada

jego pragnieniom. Jeśli w końcu przyjdzie mu sto pierwsza, to dlatego, że będzie już zniechęcony i zgodzi się raczej na wieżę krzywą, niż na trud budowania od nowa.

Człowiek jest zawsze tym budującym wieżę dzieckiem. Buduje urządzenie i konstruuje bomby atomowe, tworzy nowe formy gospodarki i stwarza „radar”, wznosi zręby nowych filozofii i ustawia bunkry przeciwpancerne. Po pewnym

czasie odkrywa, że nie ma ani idealnego urządzenia, ani dostatecznie skutecznej bomby. Wtedy zniechęcony zatrzymuje się przy ostatnim swoim tworze — może nie zawsze najlepszym. Kiedy nabierze znowu siły, będzie szukał dalej — raję na ziemi.

Wiara katolicka mówi, że tylko tam, gdzie jest bezkres i wieczność, może znajdować się ideał. Ale ideału nie wykradniemy „po kawałku”. A ponieważ nigdy

nie przesuniemy granicy ponania aż na „drugi brzeg” bezkresu — nigdy też ideału nie zrealizujemy.

Katolicyzm patrzy na wszystkie próby działalności ludzkiej w duchu twórczego pesymizmu. Dobroć rzeczy budowanych przez człowieka jest tylko na miarę czasu. Gorzej nawet: rzeczy te są właściwie tylko dobre w okresie budowania. Raz zbudowane ukazują nam tysiące braków.

Ale patrząc w ten sposób na dzieje tego świata, katolicyzm strzeże się sceptycyzmu. Bo wierząc w istnienie bezkresu po drugiej stronie granicy poznania, wierzy także, że ten bezkres nie jest niewyczerpanym, martwym oceanem, ale Bylem świadomym, który nie tylko daje się poznać, ale także wychodzi na przeciw ludzkiemu szukaniu. W języku katolików Bezkres i Wieczność nazywają się Bogiem.

Świat żyje falami: okres budowania entuzjazmu, ufności, okres rozpadania się, sceptycyzmu, depresji. Tego rytmu nie nigdy nie zmienilo. Jest on długowieczny, jak historia ziemi. Długi czas ludzono się, że ten rytm posiada jednak swój ruch wstępujący. Obecnie zaczyna, my coraz mocniej wierzyć, że jedyną zmianą, jaka się w nim dokonuje, są ukazujące się co pewien czas gwałtowniejsze, o większym odchyleniu pulsowania. Ludzono się, że w budowaniu ludzkim jest jednak pewna ciągłość. Rzeczywistość mówi nam, że to nie ciągłość, ale po prostu powtarzanie od nowa tych samych motywów.

Istnieje tylko jedna instytucja stała i niezmienna, opierająca swą siłę o Bezkres i o Wieczność. Tą Instytucją jest Kościół. Zrodził go fakt jedyny we wszechświecie, zdumiewający, oszałamiający fakt zstąpienia Boga na ziemię. Historia, chcąc czy nie chcąc, ugięła się przed tym faktem. Naiwny mit Rénana, upiorny zwid Straussa — rozwiązyły się jak dym. Ludzkość co roku pielgrzymuje — pełna oczekiwania — do stajenki w Betleem. Miliony pastuszków i setki tysięcy królów — mędrców złożyło przed nią swoje dary. Lecz to trzeba powiedzieć, że jeśli od dwudziestu prawie wieków żłobek betlejemski otwarty jest na oścież dla wszystkich — dla wielkich i małych konwertytów — to tylko dlatego — tylko dlatego! — że ten urodzony pod znakiem nowej gwiazdy Człowiek powie kiedyś najbardziej zapalonemu i najbardziej nieustannemu z swoich uczniów: „Ty jesteś Opoka, a na tej Opoce zbuduję Kościół Mój...”. Kościół jest pieczęcią prawdy ewangelicznej. Gdyby Kościół nie istniał, wszystkie wywody naukowe, stwierdzające Boskość Ciesli z Galilei, nie miałyby dostatecznej mocy. Znamy bowiem cudy większe niż te, które się działy na brzegach jeziora Genezaret. I tylko jednego cudu nie zdołał nikt powtórzyć: nikt nie stworzył dzieła, które by niepodległe było tragicznej rytmice rozkładu dzieł ludzkich.

Cud życia Kościoła jest cudem, który stanowi gwarancję wszystkich innych cudów Bożych. Można się zachwycać, że tylko katolicyzm ma świętych, można się zdumiewać siebie i wieczną świeżością

### Na marginesie

## Dla uniknięcia nieporozumień

**N**A odcinku politycznym życia katolickiego zaszło w grudniu wiele wypadków o specjalnej wadze. Prezydent KRN Bolesław Bierut wypowiedział się w szeregu sprawach, dotyczących stosunków między Kościołem a Państwem w Polsce. Prasa katolicka niemal bez wyjątku odpowiedziała na ten wywiad dłuższymi wywodami, precyzyjnymi postawę katolików wobec bieżących problemów publicznych. Następnie szeroki zespół pisarzy i działaczy katolickich wystąpił z publicznym oświadczeniem, stwierdzającym, iż jakkolwiek uregulowanie stosunków między Kościołem a Państwem należy od strony katolickiej wyznaczyć do kompetencji Hierarchii Kościelnej, to podpisane grono świeckich katolików poczuwa się do obowiazku przyczynienia się swą pracą do usuwania rozbieżności i zadrążeń. Na tle powyższego — delegacja pisarzy, przyjęta w Belwederze, złożyła na ręce prezydenta KRN szereg postulatów, dotyczących się właśnie „modus vivendi” na odcinku katolickim.

Kroki te wymagają komentarzy, by nie były opacznie rozumiane, i by, miast pożytku, nie przyniosły obozowi katolickiemu szkody i wewnętrznych rozbieżności.

Samodzielne kroki świeckich środowisk katolickich w zakresie spraw publicznych są rzadkością w Polsce. W warunkach tak trudnych, jak obecne, istnieje jednak konieczność by były poczynione próby samodzielne i na własną odpowiedzialność inicjatorów, dążące do rozładowywania napięć i usuwania trudności, narastających w życiu publicznym. Jest rzeczą jednak zasadniczej wagi by nastąpił tu wyraźny rozdział kompetencji i odpowiedzialności. Tak samo bowiem byłoby szkodliwe, gdyby czynniki niepowołane próbowały wchodzić w uprawnienia należne na odcinku katolickim tylko Hierarchii Kościelnej, jak gdyby chciały narzucać Episkopatowi Polskiemu odpowiedzialność za kroki czysto polityczne, której Hierarchia żadną miarą brać na siebie nie chce i nie może.

Konieczność aktywnego udziału środowisk katolickich w życiu politycznym wynika z istniejącego w Polsce specjalnego układu wewnętrznych stosunków. Konieczność ta nie wynika z nieczyli osobistych ambicji, ani „widzi mi się”, i jest nieodwracalna. Bierność polityczna środowisk katolickich przynieść może tylko szkodę sprawie katolickiej i sprawie polskiej. Aktywny udział katolików w życiu politycznym ma na celu wywalczyć dla nich niezbędne formy zorganizowanego działania, tak budowania własnych koncepcji ideowych i kulturalnych jak i dla oddziaływania w duchu pokoju i ładu na burzliwe życie powojenne.

We wszelkich sprawach natury czysto politycznej mogą istnieć daleko idące nawet rozbieżności w poglądach poszczególnych środowisk, pozostających nie mniej częściami obozu katolickiego. Wszelkie więc próby wciągania w te rozstrzygnięcia autorytetu Hierarchii są sprzeczne z interesem katolickim, wymagającym zachowania dla reprezentantów Kościoła pozycji nadrzędnej, rozjemczej i decydującej.

Dla wielu ludzi w Polsce ten rozdział nie jest zrozumiały. Wielu wydaje się, że podział kompetencji równa się nieposłuszeństwu. Tak nie jest.

Piszemy te słowa dobitnie i jasno dla tych wszystkich, którzy z inicjatywą grupy świeckich działaczy katolickich próbują stworzyć pozory czy to buntu, czy próby nadużycia autorytetu Hierarchii Kościelnej. Jest prawem i obowiązkiem każdego katolika dbać i przyczyniać się na swoim odcinku do budowania form politycznych życia katolickiego. Jest prawem i obowiązkiem każdego katolika przyczyniać się do normowania naszego życia publicznego. Jest obowiązkiem każdego katolika nie przekraczać tych moralnych granic działalności publicznej, jakie w swych wypowiedziach określa Episkopat Polski.

Działacze katolicki tych norm nie przekroczyli. Jeśli ich kroki dadzą rezultaty pozytywne — mają przekonanie, że uzyskają aprobatę swej Hierarchii, jeśli nie — będą potrafili sami ponieść tego konsekwencje.

Dział 159/02 R. 40



doktryny katolickiej — ale istotę życia katolickiego znaleźć można tylko w Kościele — tylko w niezmiennej, jednej, nieginącej organizacji, służącej Prawdzie.

Niewątpliwie Kościół także przeżywał swoje lepsze i gorsze chwile. Był potęgą i był słabością. Miał swoich wielkich i miał swoich małych. Zdobywał miliony i tracił miliony. Miał gesty heroiczne i miał chwile wahania. W łonie Kościoła zawiera się zawsze tendencja dwóch przynajmniej odmiennych dróg postępowania. W łonie Kościoła są fantastyczne ambicje, symonia i chciwość. W Kościele bowiem są ludzie — tylko ludzie. Kto widzi ich małość, temu wydaje się, że ujrzał słabość Kościoła i już sobie wyobraża, że Kościół stoi na brzegu upadku. Ale kto spojrzy w historię i zobaczy, ile razy Kościół stał już na progu ruiny, by zaraz potem dźwignąć się zadziwił świat wiecznych upadków swą potęgą — ten pojmuję, że nie słabość ludzka, ale Duch Boży — Duch Bezkręsu i Wieczności w wymiernym i czasowi podległym dziele — jest czynnikiem decydującym.

Wszyscy katolicy są składnikami Kościoła, ale wszyscy katolicy, to jeszcze nie Kościół. „Gdzie dwaj, albo trzej zgromadzą się w Imię Moje, tam Ja jestem...”. Oto jest tajemnica cementu, który spaja cegły murów Kościoła. Katolik może się mylić. Kościół nie myli się nigdy. Tylko pamiętajmy: Kościół nie zna problemu dróg, czy drózek. Dla Niego sprawa istotną są tylko punkty węzłowe na gościńcu historii. Wszystkie drogi — powiada stare przysłowie — prowadzą do Rzymu. Wszystkie drogi, które wiedą ku punktom wskazanym przez Kościół, są drogami prawdy. Katolik może się omylić. Może wejść na drogę błędu. Ale dopóki nie wyrzekł się jedności z Kościołem, dopóty pozostaje w nim świadomość, która go w odpowiedniej chwili ostrzeże. Nie ma obawy — kraina niepokojów rozciąga się bowiem poza murami Kościoła.

Dla niekatolika Kościół wydaje się czasami zresztą tylko zbudowaną organizacją, której tajemnica siły zawiera się w spryście jednych, a w naiwności drugich. Pomijamy płytkość takiej obserwacji. W starożytnym Egipcie świadome swej roli kapłaństwo rządziło rzeczywistość masami, dając im wskazówki, jak mają postępować. Ale „rząd dusz” w Kościele jest „rządem” zastrzeżonym wyłącznie dla spraw wiary i moralności. Poza tym zakresem Kościół wypowiada się rzadko. To nie jest partia polityczna, śląc raz po raz w dół do swoich członków okólniki i dyspozycje. Katolik często staje wobec wątpliwości, jak ma postąpić. Wieczna wątpliwość: działać, czy czekać? Pozwolić działać innym w przekonaniu, że ich dzieło i tak się zawiąże, czy też pokazać, co zdolne są stworzyć myśli i czyn katolicki?

Kościół kroczy przez świat i przez historię z Głową w niebie, lecz stopami dotykając ziemi. Nie zna obaw. Wie, że zawsze będzie zwycięski. Nie obawia się ani prześladowań, ani rozkładu w zbytnim powodzeniu. Ma swoją drogę, na której nie zna wahań. Ci kardynałowie Chińczycy, Japończycy, Murzyni — to nowe kręgi mas ludzkich, dotkniętych jego błogosławieństwem. Nie boi się nawet odszczepieństwa. Gdy będzie trzeba, z kamieni Afryki, ze skał Kordylierów, z żółtego, chińskiego loessu powstaną miliony nowych wyznawców. Nie ma ludów niezastąpionych, gdy nawet pokolenie Abrahama dało się zastąpić.

Ale Kościół zna cenę duszy ludzkiej. Dla duszy ludzkiej gotów jest zatrzymać się w swej drodze, o duszę ludzką gotów jest wieść targ, jak się targował Abraham ze swym Stwórcą w dolinie Mambre. Gdy katolik się waha, Kościół stoi nad nim uśmiechnięty i czeka. I różnie bywa. Czasami porwany przez gwałtowników Kościół idzie śmiało naprzód wytkniętą przez nich ścieżką. Czasami ostrzeżony, powstrzymuje. Wszystko zależy tylko od stanu duszy wybierającego. Święci zmuszali Kościół do biegu, sprowadzali Boga na ziemię. Bóg lubi być przymuszany przez ludzi. Inni zostawali na drodze: biedne istoty, których dom bez fundamentów zmyły wichry i burze.

Jan Dobaczewski

Jan Meyszłowicz

## UWAGI O PROPAGANDZIE

Propaganda — jej technika, zasięg, celowość itd. stała się, mniej więcej od Traktatu Wersalskiego, tematem niezliczonych publikacji i dyskusji. Propaganda ma to wspólne ze strategią, taktiką i polityką zagraniczną, że posiada nieodparty urok dla wszelkiego rodzaju dyktantów, niedouków, besserwisserów i opojów z „dobrego źródła”. Wystarczy jedną z tych czterech dziedzin poruszyć w jakimkolwiek zespole i kraju, a każdy będzie miał zaraz mnóstwo „autorytatywnych” opinii do wypowiedzenia. Oczywiście w czasie wojny występuje to jeszcze wyraziściej. Jest to o tyle zrozumiałe, że te cztery dziedziny: a) są par excellence polityczne, a zatem atrakcyjne, b) zdają się nie wymagać większego zasobu wiadomości, c) podstawowym ich elementem jest operowanie szczyptą, lub więcej, mądrością, lub poprostu zdrowego rozsądku, który jest dostępny każdemu szczeblowi rozwoju umysłowego i przynależności społecznej. De quoi s'agit-il? O co chodzi? Autorem tej historycznej formułki jest marszałek Ferdynand Foch. Rozpoczął on swój cykl wykładów w 1912 roku, w Ecole Supérieure de la Guerre, następującą anegdotą: Pewien generał miał do rozwiązania bardzo trudny problem taktyczny. Postanowił znaleźć odpowiedź w regulaminach i literaturze wojskowej. Bez skutku. Coby na jego miejscu zrobił Napoleon? Przewertował wszystkie książki o kampaniach napoleońskich. Bez skutku. Zrytowany zawołał: Do diabła z literaturą i Napoleonem! O co chodzi? I znalazł bez trudu rozwiązanie. W dziedzinie propagandy decydującym elementem jest jasne zdefiniowanie sobie jej celów i założeń. Wykonanie techniczne jest proste. Dlaczegoż zatem istnieje na ten temat tyle zdań rozbieżnych i tyle się popełnia rażących błędów? Dla tych samych powodów, dla których obserwujemy je w strategii na przestrzeni dziejów.

Propaganda weszła do słownictwa codziennego stosunkowo niedawno, aczkolwiek przykłady jej metod i bardzo pokrewnych dzisiejszym osiągnięć, dla potrzeb bądź to wojennych bądź politycznych, znamy z epoki Antonjusza i Kleopatry, których emisariusze mieli, między innymi, za zadanie wpływać na opinie i przekupywać „miarodajne czynniki” w Rzymie. A można by z łatwością sięgnąć dalej wstecz. Najwybitniejszym mistrzem propagandy był św. Paweł z Tarzosa. O ile mi wiadomo, z terminem propagandy spotykamy się w dokumencie państwowym po raz pierwszy w bulli papieskiej w w. XVI, powołującej do życia Congregatio de Propaganda Fide.

Nieporozumienia i przeciwieństwa zdań co do tego terminu spowodowane są chronicznym mieszanym pojęć. Czołowym z nich jest przeoczenie, względnie nie uwzględnianie, że propaganda jest funkcją polityki. Bez narzucenia propagandy kierunku, ścisłego określenia jego zadania przez politykę, działalność propagandowa, zwłaszcza dzisiaj, kiedy rozporządzamy tak potężnymi środkami presji psychicznej, wywołuje jedynie zamęt w umysłach i uczuciach. Doprowadzenie do podobnego zamętu może być taktycznym celem polityki na krótką metę. Musi on jednak mieć jasną wizję swych dalszych celów. Stanowczo korzystniej jest uprawiać propagandę za pomocą polityki, niż politykę za pomocą propagandy.

Propaganda jest do pewnego stopnia pochodną reklamy handlowej, aczkolwiek w swych zorganizowanych przejawach jest od niej wcześniejszą. Istnieją pomiędzy nimi oczywiście analogie w metodach i technice oraz jedno wspólne założenie. Przed tym, nim zamierzamy jakiegoś dobro reklamować, musimy, po pierwsze, dobro to wyprodukować, (obiecanie produkcji, a nie ukazanie się jej na rynku, nie opłaca się à la longue), po drugie, rozbudzić, rozszerzyć, a ewentualnie stworzyć, zapotrzebowanie na to dobro. Propagandysta — o ile nie chce

marnować swego czasu i pieniędzy swego mocodawcy — musi się od niego bezwzględnie domagać, aby temu wspólnemu założeniu reklamy handlowej i propagandy uczynił zadość.

Dzięki rozbudowaniu i udoskonaleniu aparatu propagandowego przez totalne systemy polityczne, używanie go przez Niemców do celów, które taki ogrom nie-szczęść i zła ściągnęły na świat, utarło się dosyć powszechnie, zwłaszcza w społeczeństwach anglosaskich, przekonanie, że propaganda jest specyficzną formą oszustwa na wielką skalę, czynnikiem niemożliwym, szkodliwym i niepotrzebnym. Oidium, jakie Niemcy ściągnęły na to pojęcie, wywołało chorobę propagandofobii. Z najostrejszymi jej symptomami, graniczącymi z psychopatią, spotkałem się, co prawda niezbyt często, w południowej Irlandii (Eire). Państwo to było neutralne podczas wojny. Nastroje antybrytyjskie pokutują tam dla historycznie całkiem usprawiedliwionych powodów. Cenzura irlandzka zakazała wyświetlania jakiegokolwiek filmów z wojną związanymi. Po poddaniu się Niemców zakaz ten został cofnięty. W jednym z kin wyświetlono, potworny w swym nieublaganym realizmie, film dokumentacyjny z obozów w Belsen, zaraz po zajęciu go przez Amerykanów. Słyszałem kilkakrotnie w Dublinie zdania ludzi, skądinąd wykształconych i dobrej wiary, którzy o czymś swym wierzyć nie chcieli i film ten określali, jako antyniemiecką propagandę brytyjską.

Słowo propaganda pochodzi od łacińskiego propago — szerzę, rozszerzam. Słowo to określa samo o co chodzi. O szerzenie, propagowanie faktów i prawd, ich komentowanie i tłumaczenie. Nie może to być złem samo w sobie. Kluczowym zatem kryterium nie jest jak i czy propagujemy, ale co propagujemy. Co do pytania jak postęp kultury i humanizmu sprawić, że nie zgadzamy się dzisiaj na propagowanie siłą i okrucieństwem nawet pozytywnych i błogosławionych prawd i uzgodnionych, w granicach ludzkich możliwości, faktów. Uważano to za całkiem naturalne i wskazane jeszcze w XVI wieku. Gdybyśmy samo uprawianie propagandy uznali za niemoralne lub niepotrzebne, musielibyśmy potępić działalność nauczyciela w szkole, kaznodziei w kościele i uczonego w laboratorium. Cóż innego oni bowiem robią, jak nie propagują pewnych faktów i prawd? Jakaż jest zatem różnica pomiędzy propagandą i nauczaniem? Właściwie nie powinno być żadnej. Degeneracja i wykształwienie pojęcia propagandy przez brak skrupułów i egoizm polityków doprowadziły do rozdwojenia tych dwóch pojęć.

Pomieszenie pojęć, za które trudno obarczać odpowiedzialnością szeroką publiczność, dotyczy z jednej strony propagandy, z drugiej strony informacji. Czyż ministerstwo propagandy i ich placówki nie nazywają się wszędzie instytucjami informacyjnymi? Aczkolwiek pojęcia te są zasadniczo różne, różnice zatarły się do tego stopnia, że stały się bez mała nieuchwytnie. Postęp techniczny zmusił państwo, bez względu na jego ustrój, do wzięcia pod kontrolę, której rozpiętość się waha, źródeł wpływania na opinię publiczną. Daleko idące zatarcie się różnic między propagandą sensu stricto a informacją stało się nieuniknione. Dopuszczenie jednak do identyfikacji tych pojęć jest błędem. W każdej dobrze postawionej centrali propagandowej proklamuje się całkiem szczerze, że najlepszą propagandą jest rzetelna informacja. Praktyczne wprowadzenie w życie tej zasady streszcza się przeważnie do nie-miłosiernego naginania, przekręcania i zatajania informacji, pod kątem widzenia propagandowym. Polskie Ministerstwo Informacji i Dokumentacji w Londynie przyczyniło się w dużej mierze do uświadomienia opinii brytyjskiej — zwłaszcza z pierwszych trzech lat wojny — o rozmiarach i przesłankach okrucieństw

niemieckich. Nie uniknęło jednak niepotrzebnej, a nieraz wręcz szkodliwej przesady. (Jakby Niemcy nie dostarczali sami wystarczającego materiału). W cyfrach, ogłoszonych na temat sytuacji w G. G., podane były w kaloriach wartości odżywcze oficjalnych racji żywnościowych. Wynikało z nich niezbicie, że gros ludności polskiej umrze śmiercią głodową przed końcem wojny. Pomijając już fakt, że sytuacja żywnościowa w G. G. daleka była od głodowej, efekt propagandowy mógł być łatwo odwrótny od zamierzonego. Czy warto się interesować krajem, którego żywa siła (a politycy brytyjscy są bardzo wyrachowani) uległa, lub wkrótce ulegnie, takiemu uszczupleniu?

W innej znowu, doskonałej skądinąd, broszurze „First to fight” (Pierwsi do walki) stwierdziliśmy, że polskie siły zbrojne poza krajem są ilościowo pięte z kolei wśród aliantów. Po Rosji, USA, W. Brytanii i Chinach. Było to w czasie, kiedy dzięki ewakuacji z Rosji ilość żołnierzy polskich podskoczyła gwałtownie wzwym od malejącej cyfry 30 tysięcy w 1940 r. Jakim sposobem doszedł autor do tak rewelacyjnego stosunku sił? Po prostu wyeliminował Kanadę, Australię, Nową Zelandię, Południową Afrykę i Indię. A przecież pierwsze cztery są niepodległymi państwami. Efekt był taki, że każdy z żołnierzy z tych pięciu krajów, któremu by broszura wpadła w ręce, czułby się dotknięty.

Pełny obiektywizm informacyjny jest niemożliwy do osiągnięcia przez organa państwowe. Najbardziej był do niego zbliżony ogromny dorobek biur technicznych nieoboszczki Ligi Narodów. Nie ma zatem innego wyjścia, jak usiłować znaleźć równowagę pomiędzy stałą i powszechną tendencją organów państwowych do interpretowania i pitraszenia informacji, zgodnie z zyczeniem polityka u góry, a wymogami uczciwości i zdrowego rozsądku. Należy bezwzględnie zrozumieć, że na dalszą metę te ostatnie się politykowi opłacają. Polityk musi baczyć, aby podległe mu organy w kontakcie z opinią publiczną przynajmniej od czasu do czasu opierały się zwycięsko pokusie preparowania informacji ad usum delphini. Gdyby np. poziom spożycia w Polsce obliczyć na podstawie konsumpcji monopolów, jakże pociągające byłyby to cyfry, a jakie wykresy i afisze.

Kolejne, często spotykane pomieszenie pojęć odnosi się do propagandy i wojny psychologicznej. Popularnym określeniem tej ostatniej jest „wojna nerwów”. Jest to najnowszy przyczynek do strategii. Nie jest zatem — pomimo pokrewieństw w metodach — propagandą jak ją należy rozumieć. Przez najwybitniejszych fachowców nakręcony film-reportaż z kampanii wrześniowej „Ecuertaufe”, wyświetlany na wiosnę 1940 r. w szeregu krajów neutralnych, mylnie był uważany za film propagandowy. Pokazywał z maestrią wartość żołnierza niemieckiego, ale jego celem było wywołanie przerażenia, przyciębnienia, paraliżu woli i przekonania o bezcelowości oporu. Poseł niemiecki w Oslo zorganizował prywatny pokaz tego filmu, na który zaprosił elitę miasta, w kilkanaście dni przed najazdem niemieckim na Norwegię. W przeciwieństwie do tego, wysłanie orkiestry wojskowej, jako awangardę oddziałów okupujących Kopenhagę, było zręcznym trickiem propagandowym. Amerykanie i Brytyjczycy podawali przez megafony otoczonemu i wygłodzonemu do ostateczności Japończykom, barwny i smakowity opis posiłku, jaki czeka każdego japońskiego jeńca. Do rekwizytów wojny psychologicznej należy sygnał dźwiękowy . . . , litera V Morsego (od Victory), podawany do dziś dnia na początku audycji radia brytyjskiego dla kontynentu. W okresie, kiedy prawie cała Europa była pod okupacją niemiecką, ten ziówrog i monotonny sygnał był obliczony na wywołanie dreszczu w uszach niemieckich i sta-



nowi! coraz bardziej sugestywne momenty. Do zakresu wojny psychologicznej — a pod słowem wojna nie rozumie się zawsze konfliktu zbrojnego — należy prowokowanie i zasilanie tak zwanej propagandy szeptanej. W krajach, w których opinia publiczna jest niedojrzała i obalamucona, a organy rządowe nieraz hamują bezmyślnie i biurokratycznie zdrowe tej opinii odruchy, propaganda szeptana wyrządza olbrzymie szkody. Zwłaszcza, gdy zainteresowani w jej skutkach dążą do celu per fas et nefas.

Przyjęło się mniemanie, że ponieważ Niemcy byli o krok od podboju wschodniej półkuli, propaganda ich może się poszczycić najwyższą sumą osiągnięć. Mam co do tego poważne wątpliwości. Goebels był niewątpliwie człowiekiem wybitnym. Ale czy propaganda jego oddała polityce niemieckiej usługi proporcjonalnie do zaangażowanych w nią sił i środków? Jako największy sukces propagandowy Niemiec uchodzi Monachium. Nie wydaje mi się to odpowiadać rzeczywistości. Monachium było triumfem — który mógł nie być krótkotrwałym — polityki niemieckiej, która trafnie oceniła stan umysłów i dusz rządzących i rządzonych w Czechosłowacji i na Zachodzie. Była to tymbardziej kunsztowna rozgrywka, że wojna mogła być jednak wybuchnąć w 1938 r., kiedy to sytuacja strategiczna Niemiec była gorza niż w 1939 r. Monachium było rozegrane, na niższym szczeblu, środkami nie propagandy, ale właśnie wojny psychologicznej. Propaganda niemiecka oddała natomiast znakomite usługi we Francji po jej upadku w 1940 r. Potrafiła przekabacić francuską opinię publiczną w tempie i rozmiarach, których lepiej nie starać się ujmować cyfrowo. Lecz idylla ta trwała zaledwie kilkanaście miesięcy. Natura niemiecka wzięła górę i Francuzi przejrżeli. Gdzie pozatym agenci niemieccy przekonali kogokolwiek o powabach Neuordnung? Tych, których Niemcy kupili lub zmusili siłą do uległości, trudno uważać za ofiary propagandy. Inaczej rzecz się ma z zasiewem ideologicznym hitleryzmu. Nie może ulegać dyskusji, że już przed wojną, zwłaszcza na odcinku antysemityzmu, światopogląd hitlerowski, w takim czy innym sosie, zdobył sobie licznych adeptów w Europie. Objawy zatrucia były widoczne i za oceanem. W jakiej mierze była to zasługa Goebelsa i jego akolitów? Wydaje mi się, że niewielką. Głównym elementem atrakcyjności totalizmu jest jego prostota. Zarazki faszystowskiej ideologii i szkoły myślenia znalazły grunt przygotowany w narodach o różnym stopniu rozwoju przede wszystkim na skutek eliminacji pierwiastka religijnego z organizacji życia społecznego. Przeszłość i charakter Niemców sprawiły, że oni to właśnie stali się apostołami nowej wiary, która by się zjawiała nawet gdyby Hitler nigdy się nie urodził. Intelktualnym twórcą hitleryzmu (Rozenberga trudno uważać za intelektualistę) był zresztą nie Niemiec ale Anglik, naturalizowany w Niemczech w 1914 r., zięć Ryszarda Wagnera, pisarz i myśliciel polityczny, Houston Stewart Chamberlain. A propaganda wewnętrzna, służąca standaryzacji psychiki i reakcji własnego narodu, utrzymania go w posłuszeństwie i jednorodności mentalnej, i uczuciowej, czy oddała reżimowi usługi proporcjonalnie do jej nakładu i pracy? Odpowiedź wypadnie prawdopodobnie twierdząco, ale ponieważ propaganda była narzędziem polityki hitlerowskiej, a każda polityka ma zawsze swoją cenę, czyż nie okazuje się, że cena, którą płaci naród niemiecki, i jeszcze przez długie lata płacić będzie, jest zawrotnie deficytowa? Cena ta bowiem jest nie tylko rezultatem klęski militarnej, ale i zatrucia wybitnie po temu podatnej duszy niemieckiego narodu przez osiągnięcia propagandowe.

Do ogólnego obrzydzenia propagandą, jakie obserwujemy wszędzie dochodzi przekonanie, że propaganda polega na maksymalnym operowaniu kłamstwem i przesadą. Jednym słowem, nawet niektórzy „specje” wyznają pogląd, że propaganda z natury rzeczy musi rozmiąć się z prawdą. Czy nie powiedział Voltaire: „Kłamcie śmiało, zawsze coś z tego zo-

Maciej J. Kononowicz

## KOMPAS

Spójrz, jak kompas na dłoni ci drży — —

Pocóż pytać:

— — czy w dal,

— — czy wzwyż

czy kłaść oczy na gasnące horyzonty dni,

czy je wplatać w głuche, czarne sny,

czy na niebie szukać śladów lotu,

czy na ziemi błysku sprych i dział łoskotu?

Spójrz na zegar —

jak czas ci przecieka:

on nie pyta — — nie czeka — — nie czeka — —

Pocóż pytać:

— — jutro

— — czy dziś

— — w dal

— — czy wzwyż — — —

Tu!

Pod dłonią bije ci serce jak młot

i wypycha na wargi pieśń mocną — —

Jesteśmy w marszu drugi rok:

las rośnie — — i drwale rosna...

Wierzysz? — — Wierz!

Nie zdążysz — — odpadniesz.

Wyżej — — — szerzej!

Czas goni — i kradnie — —

Jeśli stanąć — — to w cieniu kaplicy

aby spojrzeć w twarz Bogarodzicy,

w wieczny kompas — — w drewniany krzyż,

który mówi:

— — i wszsz

— — i wzwyż

który mówi, że prawda zwycięża,

choćbyś o nią wiódł bój — — bez oręża.

stanie”? Voltaire żył jednak w wieku Oświecenia, a nie motoryzacji. Przekonanie to nie wytrzymuje krytyki. Propaganda nie jest celem w samym sobie. Mądra i skuteczna propaganda nie dąży do zwykłego nabrania konsumenta, operuje danymi i faktami, które są prawdziwe, albo przynajmniej w pewnym stosunku do rzeczywistości. Nabieranie jakiegokolwiek opinii publicznej, a tymbardziej własnej, jest krótkowzroczne. „Propaganda ist die Kunst vertrauen zu erwecken“ (dixit Goebels. Definicja słuszna, ale należy mieć na uwadze, że wiara w ten sposób rozbudzona, może się łatwo obrócić przeciwko jej krzewicielom. Gdybyśmy w 1939 r. mniej wierzyli, żeśmy „silni, zvarci, gotowi“, to morale Polski pogorszyły by się minimalnie, a oszczędziłoby to narodowi karkołomnego wstrząsu psychicznego, którego skutki odczuwamy i dzisiaj.

Po układzie Sikorski — Stalin, 30 lipca 1941 r., radio londyńskie trąbiło do kraju, że układ przywraca nam granicę ryską. Taka interpretacja tekstu była sprzeczna z wyraźnymi wypowiedziami Moskwy (artykuł „Prawdy“ w 24 godzinny po podpisaniu) i ambasadora Majskiego w Londynie. Rząd Sikorskiego uległ pokusie poświęcenia celów politycznych — propagandowym. Obawiał się powiedzieć krajowi prawdę, aby nie obniżyć jego morale. Był to wielki błąd. Dla ścisłości historycznej należy dodać, że nie był to jedyny powód wprowadzenia kra-

ju w błąd. Drugim powodem była walka o władzę, która toczyła się zresztą w łonie każdego z emigracyjnych rządów alianckich w Londynie. Sikorski był demokratą-liberałem, niczego się więcej nie obawiał jak utraty popularności w kraju. Grał również potężny czynnik miłości własnej. Sikorski chciał rządzić Polską po wojnie. Chciał być demokratycznym, parlamentarnym Piłsudskim. Koalicja sanacyjno-narodowa, walcząca z Sikorskim, wiedziała, że na jednym tylko odcinku można Sikorskiego całkowicie lub częściowo „wykończyć“. Na odcinku sowieckim. Albo rzuci się przeciwko niemu jakże poważny argument, że „oddał“ Wilno i Lwów, albo, o ile utrzymamy się przy granicy ryskiej, można będzie twierdzić, że tylko czujność narodowo-sanacyjna uratowała kresy, a gdyby „nie scwietałomania“ Sikorskiego uzyskaloby się jeszcze może jakieś inne satysfakcje. Sikorski nie chciał otworzyć takiego argumentu dać przeciwnikom do ręki.

A cośmy opowiadali przez radio londyńskie o naszych siłach zbrojnych? Czytałem w 1942 r. kopię listu jakiejś podziemnej organizacji kobiecej w kraju do Sikorskiego, opisującego okrucieństwa niemieckie i błagające o odwetowe wysłanie polskich bombowców. Było to w parę tygodni po ogłoszeniu przez Londyn, że lotnictwo polskie jest silniejsze ilościowo i jakościowo od przedwojennego. Cyfrowo była to prawda. Tylko, że nie było to naprawdę polskie lotnictwo.

W związku z zapowiadaniem ukazaniem się w najbliższych dniach powieści Jana Dobraczyńskiego p. t. „Najeźdźcy“ (wyd. Oficyny Księgarskiej w Warszawie), zawiadamiamy naszych Czytelników, że wysyłać Im możemy książkę za nadesłaniem zgłoszenia.

Czytelnikom naszym wysyłać możemy książkę, nie obciążając ich kosztem porta, za zaliczeniem lub po otrzymaniu należności.

Cena powieści, wydanej w 2 tomach, w ładnej okładce, wykonanej przez Jana Knothe'go, wynosić będzie ca 950 zł. (mogą nastąpić jeszcze pewne odchylenia w cenie).

REDAKCJA.

Rządzili nim niepodzielnie Anglicy, a rola polskiego wodza naczelnego ograniczała się do wygłaszania przemówień i rozdawania orderów.

W 1944 r., na wiośnię, minister spraw wewnętrznych Banaczyk zwołał w Strattonie wielką konferencję prasową na temat Armii Krajowej. Podał tam całkiem serio, między innymi, że AK liczy 48 (słownie czterdzieści osiem) dywizji. A przed wojną chwaliliśmy się, urbi et orbi, trzydziestoma. Wśród dziennikarzy było wielu korespondentów wojennych. Byli dobrze wychowani, więc nie śmieli się głośno. Nie trzeba by zresztą wielkim fachowcem, aby widzieć absurdalność podobnego twierdzenia. A uzbrojenie? a ekwipunek? W największej próbie sił Armii Krajowej, powstaniu warszawskim, były plutony, które weszły do akcji z dwoma karabinami ręcznymi na 36 ludzi. A pan minister rzucał dywizjami w Londynie. Innym znów razem ogłosił nasi wojskowi ilość lokomotyw, zniszczonych przez AK w jednym kwartale. Cyfra ta była wyższa, niż suma zniszczonych przez RAF w Zachodniej Europie w tym samym okresie czasu. Na jednej z odpraw dla prelegentów, których zadaniem było wygłaszanie odczytów dla Brytyjczyków, podawano z urzędu, jako przykład, że życie kulturalne i artystyczne nie zamarło w Polsce pod okupacją, napisanie przez polskich kompozytorów w ciągu czterech lat — trzydziestu symfonii. To jest więcej, niż napisali Beethoven, Czajkowski, Brahms, Mozart i Grieg przez całe życie. Poprostu dyrektor departamentu nie wiedział co to jest symfonia, jak minister Banaczyk nie wiedział co to jest dywizja. Wiele jest przykładów propagandowych łgarstw, które wywołują efekt odwrotny od zamierzonego, zwłaszcza, skoro się używa specjalistów jak pewien mój znajomy zawodowy kapitan piechoty, który został wysłany do Ameryki jako specjalista od propagandy prasowej. Nie umiał zupełnie po angielsku, ale za to przed wojną był w Warszawie współredaktorem „Wiarusa“, tygodnika dla zawodowych podoficerów.

W dziedzinie natomiast informacji, względnie jak się to nie raz uważa, informacji propagandowej, organy Ministerstwa Informacji i Dokumentacji w Londynie mogą się wykazać nie małym i trwałym dorobkiem. Brytyjczycy o Polsce nie wiedzieli nic, i nie wiele co wiedzieć chcieli. Najlepszą dla Polski reklamą byli, rzecz prosta, jej żołnierze. Ale krew jest za wysoką ceną dla efektów propagandowych. Pozatym ocena Polaków pod tym kątem widzenia jest zbyt jednostronna. Po pięciu latach osiągnęliśmy jednak, że zwłaszcza w Szkocji, nie ma bezmała rodziny, która by nie wiedziała czegoś, a nie raz całkiem dużo, o Polsce, do Mieszka I włącznie. Książki o Polsce są w każdej bibliotece publicznej i w setkach tysięcy egzemplarzy w domach prywatnych. Sympatia i znajomość spraw polskich, jaką zdobyliśmy w Wielkiej Brytanii, jest poważnym kapitałem na przyszłość.

Żaden rząd dzisiaj nie może zrezygnować z propagandy jako środka wychowawczego. Chyba, że nie będzie rządem. Tezy, które rząd propaguje, niekoniecznie muszą być w całości popularne. Ale propaganda, nawet największymi prowadzona środkami, nie da rezultatów, o ile nie znajduje oddźwięku i potwierdzenia w permanentnych interesach narodu. O ile tak, to zawsze znajdzie się choćby tylko mniejszość opinii publicznej, która tezy propagandowe podchwyci szczerze i będzie szerzyć ku pożytkowi ogółu. Przykładem propagandy w najlepszym stylu jest popularyzacja Ziemi Odzyskanych. Zwłaszcza, że nie ogranicza się do słów.

Konieczna jest zatem głęboka znajomość psychiki własnego narodu, przy propagandzie zewnętrznej narodu, do którego jest skierowana, ściśle oddzielenie co jest polityką, a co jest tylko propagandą i wreszcie odróżnienie między tymi co dużo umieją, a tymi co dużo gadają. W przeciwnym razie wzrośnie tylko bezprodukcyjna ilość makulatury, jednego surowca, którego dziś nie brak.

Jan Meyszowicz





## W kraju...

### NASZ UDZIAŁ W WYBORACH

**P**OD hasłami: „Nie ma Sejmu Rzeczypospolitej bez niezależnych głosów katolickich” i „Nie ilość postów katolików, ale waga decydującego słowa katolickiego stanowi o chrześcijańskim odrodzeniu Narodu” grono działaczy katolickich zgłosiło w pięciu Okręgach Wyborczych (Warszawa, Kraków, Poznań, Ostrowiec i Siedlce) listy kandydatów do Sejmu Ustawodawczego.

Jest to krok zdecydowany i poważny. Posiadający tym większą wagę, im większe jest znaczenie wybieranego 19 stycznia Sejmu. Sejm ten bowiem uchwali Konstytucję Państwa Polskiego. Sejm ten usłyszeć musi opinie niezależnych głosów katolików, świadomych swej odpowiedzialności moralnej za przyjęcie obowiązki wobec Kościoła i Państwa.

Wszyscy katolicy mają obowiązek bezpośredniego czuwania nad tym, aby sprawy religii katolickiej — wiary i moralności — były traktowane właściwie, zgodnie z potrzebami milionów katolików polskich. Wszyscy katolicy mają obowiązek dążeń do zapewnienia religii katolickiej należnego jej wpływu na akty ustawodawcze, ochrony katolickiego wychowania młodzieży, walki o prawne uznanie sakralnego charakteru małżeństw katolickich. Wszyscy katolicy muszą troszczyć się o moralne odrodzenie Narodu, oparte na zasadach chrześcijańskich.

W stosunku do Państwa wszystkie jego potrzeby powinny być przedmiotem troski obywateli katolików. Odbudowa zniszczonego kraju musi skupić siły katolików. Troska o granice Rzeczypospolitej, o zagospodarowanie Ziemi Odzyskanych, o pokój zewnętrzny i o ład wewnętrzny — oto zasadnicze cele pracy. Pracy twórczej, będącej podstawą każdego czynu polskiego.

Katolicy, którzy zgłosili niezależne listy wyborcze, nie reprezentują jakiegos „katolickiego stronnictwa politycznego”, którego jeszcze nie ma. Nie działają w imieniu powszechnie zorganizowanych sił katolickich. Są wyrazicielami swoich własnych przekonań, sami osobiście przyjmują odpowiedzialność za decyzję wprowadzenia do Sejmu Ustawodawczego postów, żyjących, myślących i mówiących po katolicku.

Nie są oni odosobnieni w swojej decyzji. Szerokie poparcie iniejaływy przez społeczeństwo katolickie, tysiące głosów udzielające czynnego poparcia, są dowodami, że realna, trzeźwa i czynna postawa wobec potrzeb dnia dzisiejszego potrafi zapewnić wkład katolików w budowę polskiego, chrześcijańskiego jutra.

Nie należy sądzić, że zgłoszone przez działaczy katolickich listy wyborcze są dowodem jakiegos zorganizowanego aktu politycznego. Mała ilość kandydatów świadczy najdowodniej, że nie o polityczny akt tu chodzi. Kilku postów natomiast wystarcza do skutecznego ogłoszenia tych podstawowych zasad katolickich, które winny w katolickim Państwie Polskim być wewnętrzną, moralną treścią wszelkich aktów ustawodawczych.

Wiemy, że społeczeństwo polskie już rozumie nasze intencje. Wiemy, że listy nasze nasze czynnie, że w akcie państwowym, jakim są wybory do Sejmu, w naszych Okręgach Wyborczych zadokummentuje swą postawę.

Z naszych list wyborczych kandydują:  
 Bienkowski Witold, dziennikarz, (Okręg Nr 18 w Siedlcach),  
 Bocheński Aleksander, publicysta, (Okręg Nr 46 w Krakowie),  
 Filipowicz Zygmunt, ekonomista, (Okręg Nr 1 w Warszawie),  
 Frankowski Jan, prawnik, (Okręg w Ostrowcu),  
 Grabowski Stefan, bankowiec, (Okręg w Ostrowcu),  
 Kętrzyński Wojciech, dziennikarz, (Okręg Nr 1 w Warszawie),  
 Perzyński Maciej, adwokat, (Okręg w Ostrowcu),  
 Paukszta Eugeniusz, dziennikarz (Okręg Nr 31 w Poznaniu),  
 Rostworowski Stanisław - Kostka, działacz społeczny, (Okręg Nr 46 w Krakowie),  
 Zmigrodzki Kazimierz, adwokat, (Okręg Nr 18 w Siedlcach).

**K**ŁOS został sam. Ostatnie przeżycia wyczerpywały go jednak. „Rozkleiłem się”. Nie było to zdenerwowanie, tylko rzwane, a zarazem błogie pragnienie spokoju. Błądził oczami po oslepiająco białych od słońca ścianach willi, po zielono malowanych długich wąskich skrzynkach na balustradzie oraz takichże donicach, z palmami, kaktusami i innymi ciepłolubnymi roślinami; po starannie zgrabionych złotych ścieżkach, wijących się między gazonikami, pełnymi gorąco żółtych nasturcji, wzorzystych palm, ciemno czerwonych goździków oraz aksamitnie poważnych różnobarwnych bratków. Obrazy te drgały mu w oczach i tańczyły jakby odbite w wodzie, niemniej widział je wyraźnie, a nawet jaskrawo.

Spokojne powietrze pełne było światła ptactwa. Wilga gwizdała zalotnie co minutę, a oprócz tego, ku zdumieniu Kłosa zaczął swe trele słowik, wśród pełnego dnia słonecznego. „Prawda, to jest jakiś gatunek leśnych słowików, które śpiewają w dzień”. Rozmarzał się coraz bardziej. „Jednak rum to co innego, niż bimber. Och, żeby to już tak na zawsze zostało: i ten dzień słoneczny, i ten uroczy ogród, i ten śpiew ptactwa!”

Nagle z głębi domu rozległy się straszne ryki jego towarzyszy, którym zawtórowało kilka pośpiesznych strzałów. Kłós na sekundę zamarł, potem jednym rozpaczliwym ruchem wydarł pistolet. Z okna obok jednym susem wyskoczył mężczyzna z czarną kędzierzawą czupryną, i w pasiastej piżamie. Przewrócił się po skoku, zerwał się znowu, i kulejąc pobiegł w zarośla jaśminu. W Kłosie obudził się instynkt łowiecki. Oparł łufę na nadstawionym łokciu lewej ręki i oddał w jego kierunku trzy szybkie strzały. Mężczyzna padł, ale zaraz powstał. Kłós podskoczył do balustrady, oparł na niej i celując starannie oddał jeszcze jeden strzał. Mężczyzna znowu się potknął, potem usiadł na trawie i zaczął głośno płakać. Kłós przesadził balustratę, nie chcąc tracić czasu na zbieganie po schodach. To zawodzenie drażniło go strasznie. Przypomniło mu jego pierwszą ofiarę, za którą skazano go potajemnie na śmierć. Doskoczył do ściganego. Ten odwrócił doń wybladłą twarz o czarnych wielkich oczach, wykrzywionych w wyraz bólu i rozpacz. Kłós strzelił pośpiesznie znowu. Ranny tylko drgnął, ale nie przestał krzyżeć: „O jej, o jej, o jej!”... Wobec tego Kłós w rozpacz zaczął walić weń, raz po raz, celując w głowę, żeby raz przecie ucichł ten przeraźliwy lament. Wreszcie po ostatnim wystrale mężczyzna stuknął tyłem czaszki o ziemię, zalewając chodnik strumieniem krwi.

— A to twarde życie miała ta bestia! Jak kot!

Zadyszany zarepetował broń i zaczął pchać do komory zamkowej świeży magazynek. Nie zauważył nawet, jak stanął przy nim Kranc wraz z jednym z „katyniaków”: obaj z pistoletami maszynowymi.

— No, ty draniu — wołał Kranc, klepiąc go po ramieniu i błyskając złotym zębem w szeroki uśmiechu — to tak bez żadnego miłosierdzia niewinnych ludzi mordujesz? Co ci zawinił ten żydek? Ty, że należał do wybranego narodu? A przecież Hitler powiedział w swojej ostatniej mowie, że Bóg dał wszystkim narodom jednakowe prawo do życia.

Kłós zrozumiał, jakie pochlebstwo dla niego kryło się w tej drwinie. Zrozumiał ten cynizm, pełen bezbożnej mocy. Dotychczasowe zdenerwowanie ustąpiło miejsca radosnej pysze. Był szczęśliwy i dumny. Gdy postrzelił Walusiaka, czuł grozę, rozpacz i wyrzuty sumienia — teraz nic podobnego.

— Chęć mnie zamordować? Dobrze. Zobaczymy, czy mnie dostaną. Dopóki mam broń przy sobie, każde ścierwo tak skona, jak ten Żyd.

Kranc pociągnął go za rękaw.  
 — Chodź coś przekąsć. Należy ci się po takiej robocie.

Ruszył bezwolnie, w dalszym ciągu uzupełniając wystrzelone naboje w magazynku. Serce biło mu szybko. Kroczył jak we śnie, i jak przez sen widział w słonecznym pokoju okrągły, biały nakryty stół, zastawiony butelkami, zakąskami i talerzykami.

Stanisław Rembek

# Wyrok na Fran-

— Nieże jeszcze sobie żyją Żydzi w tej głupiej Polsce — błysnął ku niemu złotym zębem Kranc, nalewając dwie szklanki rubinowej wódki z gąsiora. — Sprobuj tej wiśniówki.

Kłós wypił bezmyślnie, nie poczuwszy nawet smaku.

— Ale też ciągniesz jak wodę! Zakąś teraz. Jest w czym wybierać.

Kłós nie miał jednak siły niczego przekąsć. Pił tylko raz po raz, denerwując się, że nie odczuwa żadnego zamroczenia.

W pewnej chwili Kranc zerwał się i zaczął opatrywać swój pistolet maszynowy.

— No, teraz do roboty! Für Führer und Vaterland!

Kłós podniósł się także i również wyciągnął swój pistolet. Ze zdziwieniem stwierdził, że świat drga mu w oczach, jak zepsuty film, albo jak cienie przświetlonego stońcem listowia w zdrzewionej alei. Chód miał niepewny. Z trudem utrzymywał równowagę. Wytoczył się za Krancem na ganek. Jak przez mgłę ujrzał szeroki dół, z którego raz po raz wynurzały się głowy i migają łopaty dwóch kopaczy w szarych płaskich cyklistówkach. Pod willą, pod strażą dwóch katyniaków stały dwie panie, młodzieńca panienka oraz najwyższej dziesięcioletni chłopiec, wszyscy twarzą do ściany i z podniesionymi do góry rękami.

Kranc zakomenderował coś szczerkliwe. Katyniaci zaczęli brutalnie kolbać mi szturchać całą grupę ku dołowi, z którego pośpiesznie wyskakiwali dwaj kopacze, wyrzuciwszy poprzednio łopaty. Nieszczęśliwych ustawiono szeregiem: najpierw chłopczyka, potem młodą dziewczynę, a następnie obie kobiety. Chłopiec płakał głośno, odwracając ku zandarmom wykrzywioną i zalaną łzami twarz, podłotek szlochał, aż grube łyżciekały mu między palcami obu dłoni. Obie kobiety stały wyprostowane z podniesionymi głowami: jedna złożyła ręce na piersiach, a druga zacisnęła drobne pięści.

Kranc szczerknął zamkiem i skierował broń do chłopca. Ten wtulił głowę w ramiona, oplótł ją obu rękoma i zaczął krzyżeć przeraźliwie. Jedna z kobiet obróciła się nagłym ruchem z twarzą białą i jakby niezmiernie zdumiona.

— To mój syn! Mein Sohn! — wykrzyknęła, jak gdyby cała egzekucja była jakimś strasznym nieporozumieniem, któremu to niesłychanie ważne wyjaśnienie powinno położyć natychmiastowy kres.

— Ruhe! — wrzasnął Kranc, kierując w jej stronę wylot pistoletu maszynowego.

Kłós naraz rzucił się naprzód, chwytając go za ramię.

— Posłuchaj mnie, panie Kranc! Ja chcę! Ja!

Przytknął prawie łufę do karku chłopca i strzelił. Potem skoczył do podłotki i palnął go w samo ucho. Jeszcze dwa skoki i obie kobiety osunęły się bezszelstnie na ziemię. Nie widział nawet tego. Odwrócił się i ujrzał obu kopaczy, którzy patrzyli nań szeroko otwartymi oczyma.

— Teraz ty, draniu.

Chwycił bliźszego za kołnierz i pociągnął ku dołowi. Ten padł na kolana.

— Panie władza! — zaczął wrzeszczeć przeraźliwie. — Ja nie jestem Żyd! To ja doniosłem na żandarmerię!...

— Wstawaj, sukinsynie!

Kopnął go w bok, aż padł na ziemię. Potem zaczął go kopać raz po razie.

Kranc przyskoczył ku niemu i chwycił go za rękę.

— Ha, ha, ha! Ty wariacie, przecie on z nami tu przyjechał! Puść go!

Kłós obejrzał się nieprzytomnie. Wszyscy katyniaci śmieli się do rozpuku. Kranc walił go w łopatkę aż się rozlegało.

— Ty stary draniu! Pięć sztuk dzisiaj rozwalisz na przekąskę! Nie mogłeś to choć dwoje mnie zostawić, żebym dociągnął do pięćdziesiątki! Żeby cię cholera wzięła!

Kłós potoczył nieprzytomnym wzrokiem po czterech ciałach, wijących się na nasiąkłej krwią świeżo wykopanej ziemi. „Acha, to już wszyscy nie żyją. Jak to prędko się umiera!”

Od tej chwili niczego więcej nie pamiętał, aż dopóki znowu nie obudził się wśród zupełnych ciemności. Tylko że już nabrał doświadczenia, jak przykre bywają takie powroty do świadomości. Sięgnął więc ręką pod poduszkę, gdzie ukrył był butelkę, i znowu pograżył się w błogi stan oszołomienia.

## VII

Franciszka Kłosa znałem od urodzenia, z ojcem jego bowiem przyjaźniłem się od dzieciństwa. Byliśmy rówieśnikami i razem chodziliśmy do szkoły, potem razem terminowaliśmy u tego samego majstra murarskiego, wreszcie zamieszkiwalimy obok siebie na ulicy Ceglanej, gdzie stary Kazimierz Kłós po dość bogatym ożenku wymurował sobie parterowy domek.

Franek Kłós niemal codziennie przychodził na moje podwórko grać w piłkę nożną z moimi chłopakami. Był zawsze drobny, małego wzrostu, zawsze miał tak samo na jeża ostrzyżone czarne włosy i zawsze odznaczał się zawziętością. Poza tym był to chłopak zdolny i ambitny. W

## POETA

### (Dalszy ciąg dyskusji o Gałczyńskim)

Bardzo mi się nie podobał „Głos drugi o Gałczyńskim” p. Jakimiaka p. t. „Wiesz czy błąd”. Sam tytuł zresztą wprowadza w błąd, bo sugeruje rozważania, mające doprowadzić w wyniku do opinii krańcowych, podczas gdy treść jest pełnym pasji besztaniem poety. I jeszcze jedno, nie jest to wypowiedź recenzyjna, jak można mniemać z przedślowia Redakcji, natomiast jest to ulżenie sobie autora, który nazbyt pochopnie nazwał swoją rzecz „próbą analizy wierszyków Gałczyńskiego i jego wartości obiektywnych” (tak może mówić tylko wielki autorytet, a pokora chrześcijańska tudzież samokrytycyzm nie powinny pozwolić p. J. uważać się za takiego). W rzeczywistości p. Jakimiak nie zdobył się na próbę analizy literackiej, choć o to powinno chodzić i potraktował rzecz — powiedzmy — z pewnego punktu widzenia, ale przede wszystkim b. subiektywnie.

Autor „Głosu drugiego” ma, zdaje się, zdecydowanie i nieodwracalnie ustalone opinie literackie i razą go odstąpił od wypielegnowanego szablonu. Ponieważ szanuje cudze zdanie, nie będę usiłował zbijać b. osobistych argumentów p. Jakimiaka, ale pozwolę sobie zaznaczyć inny punkt widzenia w momentach, gdy według mnie, nadużywa on postawy — właściwie — dyskutanta i przemawia niemiłosiernie autorytatywnie i przesadnie.

Należy przede wszystkim stwierdzić o Gałczyńskim, że jest to poeta z poza kręgu pisarzy katolickich. Nie można o to

wnosić pretensji, bo jest to tylko kwestia wolności wyznania i sumienia poety. Co zaś się tyczy drukowania autorów „niekatolickich w pismach katolickich, to — bardzo przepraszam — ale „grzech” ten popełnia się dość często i, powiedziałbym szczerze, jeśli się pragnie zamieścić u twórcy o dużej wartości literackiej. Poza tym „grzech” taki powinien być cnotą katolików, w dodatku Polaków, którzy słyniemy z tolerancji i wcale nie czytamy „zawsze pełni miłości”, aby uznać pisarza za swego. Owszem, cieszymy się ze zdobywczy czy z posiadania w swym gronie pisarzy wybitnych, ale nie powinniśmy sobie pozwalać na szweską pasję, że jakiś poeta zawiódł pokładane w nim przez nas nadzieje.

Zgadzam się natomiast, że Gałczyński nieco roztrwonił swój talent, że dobrze byłoby, aby solidniej wziął się do roboty i — więcej jednak pisał. Dogadza mi w wypowiedzi p. Jakimiaka brak potępienia przyszłości Gałczyńskiego.

A teraz słówko o wartości poetyckiej „Wierszy”.

Nie żądam od autora „Kołczyków Izoldy”, erudycji, ani żadnej rzeczy, których nie uważam za konieczne dla tego rodzaju twórczości — niehermetycznej, wspaniale swobodnej, prawdziwej, trochę dziwacznej, bardzo poetyckiej i nie oglądającej się na żadne zamówienia. A wydobycie poprostu z siebie. (Nie wierzę, że spod siebie),



# ciszka Kłosa (5)

Powieść z roku 1943.

szkole powszechnej był stale pierwszym uczniem. W wojsku ukończył szkołę podoficerską z bardzo dobrą lokatą. Zdobył też mistrzostwo w strzelaniu na zawodach dywizyjnych. Wyszedłszy w stopniu plutonowego wstąpił do szkoły policyjnej. Po ukończeniu jej otrzymał przydział do naszego miasta. Odnaczał się służbiście, to też prędko zdobył sobie niechęć wszystkich mieszkańców. Rodzono mu ojcemu nie przepuściłby najlżejszego wykroczenia. Mimo to jednak nie cieszył się poparciem władz i był stale pomijany przy awansach. Nie zdawał sobie sprawy dlaczego, ale jest pewne, iż zawdzięczał to właśnie temu, że pełnił służbę w rodzinnym mieście, gdzie mieszkał jego ojciec, który był zażartym i bardzo czynnym przeciwnikiem rządów sanacyjnych. Z tego powodu nasz starosta groził mu nawet obozem koncentracyjnym w Berezie Kartuskiej.

W latach rewolucyjnych po wybuchu wojny japońskiej brał stary Kłosa bardzo czynny udział w ruchu robotniczym. Odpuścił to kilkuletnim więzieniem. Aresztowany w 1910 roku do wybuchu pierwszej wojny światowej siedział w więzieniu w Piotrkowie. Potem został wywieziony do obecnego Leningradu, przechrzczonego wtedy właśnie z Petersburga na Piotrogród. Wyzwolili go wybuch rewolucji.

Nigdy nie mógł zapomnieć tej chwili. Często opowiadał z uniesieniem, jak kobiety rosyjskie całowały go po rękach jako męczennika za wolność i socjalizm, jak fetowano go po pierwszorzędnym cukierniach i restauracjach... Przejycia te ugruntowały w nim tym bardziej przekonania socjalistyczne oraz obudziły przyjazne uczucia dla Rosji. Nie tań się z tym nawet w czasie wojny z Sowieciami, a po przewrocie majowym od razu ustosunkował się wrogo do nowego ustroju.

Franek urodził się w 1908 roku. Był więc do dziewięciu lat wychowywany wyłącznie przez matkę. Dawała ona sobie zresztą z nim doskonale radę, jak również z prowadzeniem domu. Utrzymywała się ze sklepiku galanteryjnego, który przy pomocy rodziny założyła. Była to kobieta wysoka, sucha, o niezmiernie ostrych rysach twarzy, wąskich wargach, długim nosie i wydatnym kwadratowym podbródku. Zawsze odznaczała się surowością i pobożnością, która z wiekiem wzdątała i do której od dziecka nakłaniała Franka. Był on zresztą chłopcem, łatwym do prowadzenia.

Ojca poznał Franek dopiero w dzieciństwie, czy nawet jedenastym roku życia. Stosunki z nim ułożyły się od razu niezbyt dobrze. Franka oburzała ojcowa

szka bezbożność, wrogi stosunek do księży, do rządów, a nawet do samego nauczelnika państwa i zarazem pierwszego marszałka Polski, Józefa Piłsudskiego. Oburzało go też niepatriotyczne, według niego, pomniejszanie znaczenia „cudu nad Wisłą”.

Stary Kłosa pod względem wzrostu jeszcze ustępował synowi, był natomiast gruby, bardziej krępy i łysy. Wąsy goilił. W przeciwieństwie do Franka, który po matce odziedziczył zimny spokój i opanowanie nad wszelkimi odruchami, odznaczał się nerwową ruchliwością i krewkością. Cechy te w połączeniu z bezwzględnością otwartością w wypowiedzianiu poglądów wiele mu w życiu szkodziły. Ciągłe wywoływał zatargi i burze we wszelkich organizacjach politycznych i społecznych, do których zawsze się garnął. Wskutek tego ogólnie uchodził za warchołę.

Na każde wspomnienie wyprawy kijowskiej, czy bitwy pod Radzyminem, czerwienił się na swej szerokiej twarzy aż po obszerną łysinę, wytrząsał zaciśniętymi pięściami i tupał nogami.

— Komu i po jaką cholere potrzebne były te wszystkie awantury? Chyba tylko tym, co chcieli nas pokłócić z narodem rosyjskim. Sowiety od samego początku uznały rozbiory Polski za zbrodnię i chciały pokojowo załatwić sprawę granic. Mogliśmy uzyskać nawet więcej, niż dostaliśmy.

Następowały straszne klątwy na burżujów, obszarników, socjalzdrajców...

W dodatku stary Kłosa lubił się upijać, co wychowanego w zasadach wstrzeźliwości Franka raziło w najwyższym stopniu. W awanturach, jakie z tego powodu wynikały między obojgiem rodziców, Franek brał zawsze stronę matki. Nie wpływało to na polepszenie stosunków między ojcem i synem.

Największe jednak poróżnienie nastąpiło między nimi, gdy Franek postanowił wstąpić do policji.

— Mój syn policjantem! Ha, ha, ha! Mój syn policjantem! Czego ja się doczekałem! Czy ja na jedną sekundę przypuściłem coś podobnego, gdy mnie stąpajki carskie tłukły przykładami na etapach?

W ten sposób wykrzykiwał, biegając po pokoju i tocząc nieprzytomnie przekrwionymi oczyma, gdy mnie w tym czasie odwiedzał.

Od czasu swojego więzienia czuł nienawiść do wszelkiego rodzaju policjantów całego świata. „Každy policjant to — drań!”. Kiedy jednak Franek pokazał się w granatowym mundurze w naszym mieście, pogodził się jakoś z tą myślą nadspodziewanie łatwo, chociaż swych uczuć do samej instytucji nie zmienił bynaj-

mniej. Rezygnacja ta była wynikiem spokoju, równowagi duchowej i stanowczości Franka, który zawsze wiedział, czego chciał, i zawsze uporczywie dążył do celu w przeciwieństwie do ojca, opawanego całkowicie przez żonę i wyżywającego się raczej w przyjacielskich pogawędkach przy kieliszku, nieraz bardzo burzliwych. Stosunki więc Franka z obojgiem rodziców ułożyły się poprawnie. Nie zdawał on sobie zresztą z tego sprawy, przy całym swoim sprycie życiowym, jak mu to właśnie szkodziło w jego karierze służbowej. Truś się też niezmiernie, że mimo gorliwości i sumiennosci w pełnieniu obowiązków, stale był pomijany przy awansach i odznaczeniach, które dostawały się za to jego kolegom, nieraz całkiem lichym pracownikom, ale za to w jakikolwiek sposób zasłużonym, lub też mającym rodziny, zasłużone rządzącej grupie.

W kilka dni po wybuchu wojny z Niemcami miasto nasze znalazło się w strefie wojennej. Franciszka Kłosa ewakuowano wraz z całą policją na prawy brzeg Wisły. Powrócił gdzieś za Brześć już za okupacji niemieckiej, przebrany po cywilnemu. Został rozporządzeniem władz okupacyjnych, że wszyscy, przybywający do miasta policjanci, muszą się zgłaszać do służby pod karą śmierci. Z tego powodu w domu Kłosów odbyła się poważna narada, w której wzięli udział rodzice Franka. Jego żona przez cały czas tylko płakała i ciągle powtarzała:

— Uciekaj Franus! Ja ci mówię, uciekaj w Kieleckie do moich rodziców. Kto cię tam zna? Urządzisz się jakoś u tatusia, może zaczniesz handlować, a ja przyjadę niedługo do ciebie, jak tylko dzieci przestaną chodzić do szkoły.

Mówiąc to obejmowała męża i przycisnęła oburącz do piersi jego szczecińską głowę.

Franek odsunął ją dość brutalnie.

— Kobieto, dajże mi przecież spokój! Nie lepiej się tak, do jasnej Weroniki!

Stary Kłosa poparł jednak stanowisko synowej. Położył zaciśniętą pięść na stole i patrzył na syna strasznymi oczami.

— Nie pójdziesz na służbę niemiecką, nie pójdziesz na służbę tego krwawego psa Hitlera. Wszystko, co ci tam każą robić, będzie na szkodę ludu, na szkodę całego narodu polskiego. Nie będziesz służył złodziejom, bandytom i mordercom.

Tu matka z namaszczeniem podniosła palec w górę.

— Synu, pamiętaj, że bez woli boskiej włos ci z głowy nie spadnie. Dopóki będziesz zachowywał przykazania boskie, nie obawiaj się niczego, bo zawsze Matka Najświętsza będzie czuwała nad tobą. Błogosławieństwo matki i modlitwa matki wiele może, a ja zawsze modlę się za ciebie. Nie łącz się z wrogami Chrystusa i Kościoła.

Franek siedział w całkowitym milczeniu. Dłonie oparł silnie na kolanach. Głowę opuścił głęboko. Jego zwarta twarz wydawała się jeszcze krótsza i bardziej zamknięta, niż zwykle. Nigdy nie lubił wiele mówić, a czynił zawsze to, co sam uważał za słuszne. Teraz też powstał nagle, wydobyl mundur z szafy i zaczął się spokojnie przebierać, jakby oprócz niego nikogo w pokoju nie było.

Żona doskoczyła do niego z załamanyymi rękami i ściągniętymi rozpaczliwie ku górze brwiami.

— To idziesz?!

Nie odpowiedział. Dopiero wyciągnawszy z szafy odświętne buty z cholewami, wetknął je swojej małżonce.

— Masz! Wyczyść to!

Ojciec zerwał się na równe nogi nerwowym odruchem i otworzył usta. Po chwili jednak odwrócił się tyłem i machnął ręką. Matka podsunęła się parę kroków niby czarna kocica.

— Idziesz do Niemców?

Nagłym sztychem zadarł ku niej swój niebieskawy wystający podbródek.

— A gdzie pójde? Żebrać? Do teściów? Dużo mi dotychczas pomogli?

W ten sposób Franciszek Kłosa znowu znalazł się w szeregach granatowej policji. Po pewnym czasie stał się najsławniejszym w całym mieście.

## W swiecie...

DOSIEGO ROKU.

ROK 1946 skończył się pod znakiem dobrej koniunktury politycznej, której na imię: kompromis. Kompromisem zakończyła się praca nad traktatami dla b. satelitów Osi. Kompromisem zakończono najtrudniejszy punkt — Triest. Kompromisem była rezolucja w sprawie rozbrojenia i kontroli międzynarodowej zbrojeń oraz rozmieszczenia wojsk. Jedynie sprawa ochrony świata przed bombą atomową, która nie może uzyskać jednomyślności mać nieco chmurki na pogodnym noworocznym niebie politycznym. Nawet dyskusja nad Niemcami, która będzie niewątpliwie ciężkim orzechem do zgryzienia w bież. r. 1947, stara się przedstawić w jak najlepszej perspektywie — ogłoszono bowiem przed paru dniami, że między Byrnesem a politykami radzieckimi nastąpiła już wymiana zdań na temat naszej zachodniej granicy i Byrnes gotów jest uznać ją za ostateczną granicę Niemiec na wschodzie. Tym samym tonem przemówił rzecznik sowieckich władz okupacyjnych na konferencji partii niemieckich w Haale. Jednym słowem — sielanka! Byłoby tylko załatwiono z tą bombą atomową!

PAN-AZJA.

GDY w Ameryce, w ONZ wszechwładnie panuje kompromis — jedni nazywają go twórczym, a inni zgnitym — to w Azji nie ustaje walka karabinów maszynowych. W Azji, w wyniku wojny przebudziły się silne prądy narodowościowe, nawet nacjonalistyczne i one chcą dojść do głosu w koniunkturze historycznej i rozwojowej, która sprzyja powstawaniu wszelkich jednocyfrych się i większych całości, natomiast nie sprzyja zgoła wszelkiemu odrywanianiu się i dzieleniu. Dlatego też obserwując z nieklamana sympatią ruchy wyzwolenie w Indiach Brytyjskich, Holenderskich i Viet-Namie (przy czym ruch w Indiach Brytyjskich, dzięki fanatycznemu skłóceniu dwóch tubylczych narodów, jest najbardziej tragiczny) — jednocześnie zdajemy sobie sprawę z ich dramatycznego opóźnienia. W tym stanie rzeczy wydaje się pozornie, iż jedynie jakieś hasła, wykazujące odrębność, a równocześnie całość azjatyckiego kontynentu, mogą stać się drogą, na której mieszkańcy Azji uzyskają niezależność od swych białych „opiekunów”. Zrozumiałym jest przeto, że na wieść o rozruchach w Viet-Namie jeden z przywódców politycznych Burny rzucił właśnie hasło „Pan-Azji”. Z drugiej jednak strony, tak jak postulat Pan-Europy, może się stać łatwo okazją dla ponownego odrodzenia się niebezpieczeństwa niemieckiego, tak samo hasło „Pan-Azji” może zostać wygrane przez imperializm japoński. W tym stanie rzeczy należy właściwie życzyć sobie, by narody azjatyckie możliwie najprędzej mogły jako samodzielne jednostki wejść równie i aktywnie do jedynej organizacji światowego bezpieczeństwa, jakie są Narody Zjednoczone — UNO.

### WIELKOPOLSKA KSIĘGARNIA WYDAWNICZA

P. Z. P.

z a w j a d a m i a

iz ukazała się w druku powieść historyczna z czasów Chrobrego  
Wł. J. Grabskiego  
Ś L A D E M W I K I N G Ó W  
Sagi o Jarlu Broniszu, część II  
stron 416 Cena 20 zł

wkrótce ukażą się

Hanny Malewskiej

Z N I W O N A S I E R P I E

powieść o Norwidzie

Jana Parandowskiego

D W I E W I O S N Y

Wydanie drugie

(d. c. n.)

Przyznaję, że taki punkt widzenia byłby niesłuszny, gdyby się stosowało zawsze. Ale — jeśli na stu powiedzmy, poetów w Polsce 50-ciu jest nudnych, 30-stu trudnych, 19-stu prawdziwych — to jeden może być Gałczyński. Przydałoby się nawet takich więcej. Zamiast tych nudnych i trudnych.

Tom „Wiersze” powitałem z zadowoleniem, towarzyszącym uczuciu ulgi po okresie długiego oczekiwania. Przyznaję, że niepokoiła mnie myśl, czy może przypadkiem Gałczyński rzeczywiście nie do stał fiota. Uległem trochę psychozie i zacząłem wątpić w zdrowe zmysły, ponieważ (wstydzilem się przyznać) „Zielona geś” i „Listy z fiołkiem” nawet mi się dosyć podobały. Przekonałem się jednak namacalnie na poranku autorskim Gałczyńskiego, że jest to zupełnie normalny facet, całkiem miły człowiek, nie wyglądający na entuzjastę delirium tremens. Powiem więcej: aczkolwiek autorzy zwykle słabo recytują swoje utwory, a Gałczyński tylko dużo lepiej, jednakże to, co usłyszałem, „owionęło” mnie poezją.

Uważam bowiem, że Gałczyński jest jednym z najlepszych naszych poetów na przestrzeni 15 lat ostatnich, a jego poezja taka właśnie jak w wierszu „O mojej poezji” — autentyczna, swobodna, trochę kapryśna, nie zakuta w kajdany „starej formy wiersza” i taka chwytająca za serce. Odsyłam p. Jakimiaka do obszernej recenzji wierszy Gałczyńskiego w „Prosto z Mostu” pióra Micińskiego, z którą się całkowicie zgadzam. Bowiem Gałczyński obrał sobie wcale niełatwą drogę uchwylenia pierwszych odruchów przedwrotczych, ledwie przebyłsków nat-

chnienia, „niedotartej” i niezupełnie uświadomionej treści — i wszystko to przetwarza lekko, z wdziękiem i w sposób bez dyskusji oryginalny tak, „aby go się bali królowie i aby go kochały dzieci”.

Dlatego protestuję przeciwko rozpowszechnianiu mniemania, że Gałczyński pisze „wierszydła” czy „brednie”, że jest „upadły” i że jego twórczość jest „skandalem” itp. — bo to jest sowinistyczne, nieumiarkowane i brzydkie.

Pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć:

Kwiaty są, by je zrywać, a cienie, by je gonić,  
a strumień, by usnąć przy strumieniu,  
a w braku telefonu na leśnych dzwoni-  
kach dzwonić  
można w sprawach o wielkim znacze-  
niu.  
(„Troszeczkę pomarzyć”)

A wiersze Gałczyńskiego są po to, by nie więcej od nich nie chcieć jak tylko — poezji.

Postulat ten spełniają, według mnie, conajmniej zadawalająco.

Henryk Jakóbczyk

K. I. GAŁCZYŃSKI

### W I E R S Z E

Wyd. Oficyny Księgarskiej



Stanisław K. Rostworowski

# O gen. Chłapowskim słów kilka

W Poznaniu obchodzono uroczyste studnią rocznicę śmierci Karola Marcinkowskiego, twórcy odrodzenia Wielkopolskiego. Uważamy przeto za wskazane przypomnieć Rodakom żołnierską postać Chłapowskiego, współtwórcy i realizatora jego myśli.

Współcześni takie dają o nim świadectwo. „Chłapowski był człowiekiem wielkiego charakteru. Niejeden geniusz stał się klęską dla narodu; charakter wielki w sobie samym wyższy jest od geniuszu i dla społeczeństwa pożyteczniejszy”. (Kalinka: „Generał D. Chłapowski”).

O życiu generała powiedział Paweł Popieł: „było ono przez lat 50 wzorem i szkołą dla całej Polski” („Czas” 3.V.1879). Najwyższe to uznanie w ustach człowieka powściągliwego a obdarzonego mądrością i darem sądu.

„Trudniej dzień dobrze spędzić, niż napisać księgę” pisał Mickiewicz.

Chłapowski był człowiekiem, który potrafił „dobrze spędzić” lat sto bezmała.

Warto tedy przywrócić się temu życiu.

## POD NAPOLEONSKIE SZTANDARY

Chłapowski urodził się w dziedzicznej Turwi w Poznańskim z ojca starosty kościańskiego i matki Moszczeńskiej, wojewodzianki inowrocławskiej w 1788 r. Do lat 14 przebywał w szkole Pijarów w Rydzynie, po czym odtąd umieszczony go w pułku dragonów pruskich z przydziałem do Królewskiej akademii artylerii w Berlinie. Gdy w końcu października 1806 po zwycięstwie pod Jeną, armie napoleońskie wmaszerowały do stolicy pruskiej, 18-letni kadet Chłapowski, co koń wyskoczył dopadł Poznania, by pierwszy przynieść rodakom wielką nowinę. Uderzyła ona jak grom. Porwano się do broni. Już 3.XI Dąbrowski i Wybicki ogłaszają odezwę do narodu. Wypadki idą piorunem — 7.XI awangarda francuska wkrocza do Poznania; 27.XI przybywa Cesarz, tegoż dnia pada Warszawa.

Młody kadet zgłasza się do wojska; przydzielono go do szlacheckiego oddziału gwardii konnej, stworzonego dla eskorty J. C. Mosci. Wtedy to Cesarz, znawca ludzi wprawnym rzutem oka, wyróżnił młodego junaka spośród 100 jego kolegów. Ta służba honorowa trwała krótko, wnet Chłapowski zaciąga się do 2-go pułku liniowego, z którym w styczniu 1807 rusza w pole, w szturmie Tczewa bierze pierwszy ogniowy chrzest. Pod Gdąńskiem rannym dostaje się do niewoli. Wróciwszy tegoż roku do ledwie utworzonego Księstwa Warszawskiego, dekorowany Virtuti Militari i Legią Honorową, mianowany został przez Napoleona oficerem adiutantem przy Jego Cesarskiej osobie; rusza więc do Francji.

## ADIUTANT CESARZA

Zaczęły się dla młodego „officier d'ordonance” ciężkie, ale i zaszczytne czasy. W epoce pierwszego Cesarstwa nie znano elektryczności, to też o łączności decydowały sprawność runaka i jeźdźca. Przegalopował tedy Chłapowski w służbie Cesarza wielokrotnie całą Europę od Madrytu po Moskwę.

Zwiedził niemal wszystkie dwory monarcharsze, czy książęce. Wśród świstu kul pędził z depeszą w rękę przez słynne pola bitew, dzierżąc niejednokrotnie w garści los bojów. Nie zawiódł nigdy. Na polach bitew Landeshut i Eckmühl (1809), mając lat 21 zdobył szlify podpułkownika gwardii i tytuł barona Cesarstwa. Pod Reichenbach 23.V.1813, jak mówi historyk „Chłapowski na czele 4 szwadronów walczył zwycięsko z armią nieprzyjacielską... w pięciu szarżach, wykonanych z szaloną odwagą polskiego ułana, ale i z zimną krwią wytrawnego dowódcy, rozbił on i zmusił do ucieczki trzy z kolei pułki rosyjskie”. Wieczorem tegoż dnia gratulowali rannemu w ramię pułkownikowi generałowie gwardii Lefebre, Le Tort i gen. Wincenty Krasiński.

Kiedy po zwycięstwach majowych pod Iützen i Bautzen, Napoleon zaproponował Rosji i Prusom zawieszenie broni, towarzyszył Chłapowski z ręką na temblaku, wysłanemu z tą misją Caulincourt'owi. Gdy z tekstu listów napoleo-

skich dowiedział się o jego gotowości odstąpienia Księstwa Warszawskiego „najchytrzejszemu z Greków” cesarzowi Aleksandrowi — złożył natychmiast dymisję. Decyzja jego była nieodwołalna, nie pomogły perswazyje cesarskie; zwolnienie uzyskał 13.VI.1813 r.

Zbyt wielkim był patriotą i zbyt wielkim realistą ten szalony ułan, by walczyć dalej za sprawę Cesarza. Zrozumiał on, że interes kraju rozszedł się z celami Korsykanina, on zaś postanowił żyć dla Polski.

Trafny był sąd młodego pułkownika — istotnie dalszy udział wojsk polskich w służbie cesarza Francuzów dobrze świadczył o wierności, ale źle o politycznym zmyśle dowództwa.

## ROK 1830/31

Latą 1815/31 poświęca Chłapowski ratowaniu, zadłużonej po wartość, rodzinnej Turwi. W tym czasie żeni się z Antoniną Gładzińską, siostrą księżnej Łowickiej, żony Wielkiego Księcia Konstantego. W tym czasie rozpoczyna swą pracę zawodową i społeczną.

Skoro niespodziewanie w listopadzie 1830 r. surmy bojowe odezwały się z nad Wisły, rusza ten świetny żołnierz, teraz poddany pruski, by skrzyżować szpady ze swoim cesarskim szwagrem. Przekradłszy się przez granicę staje do dyspozycji dawnego towarzysza broni Chłopcickiego. Wszystko postawił na jedną kartę, życie, rodzinę i zagrożone konfiskatą dobra. Dyktator zatrzymuje go przy sobie jako konsultanta. Daremnie Chłapowski nalega na szybkie dozbieranie Królestwa, rozumiejąc, że układy z Mikołajem mają szansę wtedy tylko, gdy poparte zostaną potęgą siły zbrojnej. Kiedy pertraktacje zawiodły, a cenny czas zmarnowano, Chłapowski zgłasza się do linii i pod Grochowem szarżuje świetnie, choć z rozpaczą w duszy piechotę nieprzyjacielską. Pułkownik zrozumiał, że powstanie jest ciężkim błędem politycznym, spowodowanym przez patriotyczną, ale niedoświadczoną młodzież, pragnął już tylko zaszczytnie spełnić swoją żołnierską powinność. „Honor bez honorów” — było częstym jego powiedzeniem.

W maju 1831 r. wysłano go na Litwę na czele 700 jeźdźców. Zwycięski w wielu potyczkach, dokonuje głębokiego rajdu aż pod Wilno. Za wyczyny te uzyskuje Chłapowski wysokie odznaczenia i szlify generalskie. W połowie czerwca poddany komendzie nieudolnego Giełguda, odrzuca sugestie obalenia go i objęcia dowództwa drogą zamachu, a kiedy Giełgud naciśnięty przez przemożne siły, przechodzi granicę pruską (12—14.VII.1831), Chłapowski uważa za swój obowiązek, razej towarzyszyć braci żołnierskiej, niż przedzierać się samopas do Warszawy, ku czemu rwie mu się dusza. Korpus litewski w sile 6,800 ludzi, internowany został pod Klajpedą. Jego dowództwo po tragicznej śmierci Giełguda objął Chłapowski. W trzy miesiące potem upadło powstanie w Królestwie, a w dn. 4.X główna armia przeszła granicę.

Naradzano się co robić. Czy wracać do Ojczyzny, czy emigrować? Generał przestrzegał przed emigracją; tłumaczył, że niema sensu powtarzać epopei Dąbrowskiego w zmienionych i jakże niepomysłowych warunkach politycznych. Wielu bałamuścił fakt, że francuska partia republikańska zapraszała rzesze powstańcze, licząc na wygranie ich przeciw monarchii lipcowej Ludwika Filipa, którą obalić usiłowała. Chłapowski stanowczo oparł się szaleńcemu projektowi gromadnego wychodźstwa; miejsce Polaka jest w Polsce, niech wyjeżdżają tylko ci, którzy absolutnie wrócić nie mogą. Ta dojrzała i stanowcza decyzja generała kosztowała go utratę popularności, uratowała jednak dla kraju liczne zastępy tych, którzy go posłuchali. Gdy Chłapowski wrócił do domu, zastał dobra skonfiskowane, sam zaś odsiedzieć musiał rok twierdzy.

**GDY PATRIOTA ROBI REWOLUCJĘ...**  
Odzyskawszy postanowieniem monarchii rodzinna Turwie, generał, w ule

męskiego wieku, zakasał rękawy, by służyć rodzinie, społeczeństwu i Ojczyźnie, tym razem sercem i głową — nie mieczem.

Praca jego, to istna rewolucja. Pojechał do Anglii, celem zbadania metod nowoczesnego rolnictwa, dla studiów zwieździł także niejedną kraj Europy.

Zmysł praktyczny i dar sądu podyktowały mu, którą z nowości można z pożytkiem zastosować w naszych warunkach. Zbadawszy teoretycznie problem przystąpił z metodą do jego realizacji.

Spotkał się z cichym buntem podwładnych i społeczeństwa.

Sąsiedzi śmiali się w kułak, gdy zamiast zboża siewał „trawę” — (była to nieznaną wówczas koniczyna). Rządco wie gremialnie dymisjonowali mniemając, że pan ich w piętkę goni. Służba rolna przyzwyczajona do dawnych metod i dawnych narzędzi, sabotowała każdą nowość. Niszczono narzędzia i inwentarze, które był wielkim kosztem przywiózł z za granicy. Musiał generał aż z Królestwa sprowadzać parobków i majstrów. Jak niegdyś na polach bitew galopował teraz od świtu do nocy po polach i folwarkach, by żelazną ręką opanować przechodzące w bierny opór niezadowolone. Rozkazywał krótko, dobitnie i stanowczo, przeczył, by Polakowi trudno przychodziło posłuszeństwo, odwrotnie, nieumiejętność rozkazywania poczytywał za przyczynę naszego bezrządu. Konsekwencją (rzecz znamienita, że język nasz nie zna tego terminu) — sprawiedliwością postępowania, twardością dla siebie, umiejętnością wymagania i nagradzania, a także dobrocią i dbałością pracowników, zjednał sobie wreszcie autorytet i uznanie u podwładnych — nie u społeczeństwa. Nie u społeczeństwa, bo wielu z tych zawsze u nas tak liczących, co nie nauczyć się i nie zrozumieć nie potrafią, żywiło do generała silny uraz, za walkę jego z baranym pędem emigracji, stoczoną mężnie w tragicznych popowstaniowych latach.

Niejeden miał Chłapowskiemu za złe zdanie jego w sprawie włościańskiej — „zbyt długie trwanie pańszczyzny”, mawiał on, przyczyniło się do upadku Polski, rozpróżniaczyło szlachtę, zgubiło lud i obniżyło produkcję”; — nie zapomniano mu tych słów. Ludzie pamiętali, że w latach 1822/23 stanowisko i wpływ Chłapowskiego przyczyniły się walcnie do obalenia pańszczyzny zaledwie dwoma głosami większości, a w dobrach własnych zlikwidował ją w drodze dobrowolnego z włościaństwem układu. Rzecz znamienita, że wedle historyka „za zniesieniem jej wotowali wszyscy reprezentanci szlachty polskiej, jej zaś utrzymania domagały się miasta i wsie”.

Głównym jednak powodem braku wzięcia u rodaków była nieubłagana walka, jaką generał, samowtór z Karolem Marcinkowskim, stoczył z ówczesnym „podziemiem”. W walce tej sekundowało mu nieliczne, ale doborowe grono przyjaciół. Wszystkie te wystąpienia, jak również nowe „dziwactwa” na polu metod rolniczych, sprawiły, że Chłapowski, jak stwierdza jego biograf, „stał się osobistością jedną z najpopularniejszych w Polsce”.

Generał zaciął się w sobie, jednak nie ustał w pracy, ale podwoił wysiłki. Po paru latach granice Turwi witykały do rodne jak ława zboża. Jeżeli nie ludzie, to plony dawały świadectwo prawdzi. Drwiny sąsiadów zamilkły.

Generał przyjmował rokrocznie zwiedzających, trzymał ponadto po kilkunastu praktykantów, oni to roznieśli dokonaną na polach Turwi rewolucję agrarną po całej Wielkopolsce.

A dziedzic turewski rozszerzał wciąż kręgi swej działalności.

Znacznym był jego udział w przeprowadzeniu komasacji gruntów i dokonanym skonwertowaniu czynszów chłopskich na rentę ziemską, umarzającą się po latach 46. Ustawa ta, wydana w 1848 roku zakończyła najpomysłniej przewrót agrarny w zaborze pruskim. Zmieniła ona

do gruntu strukturę rolną i zdecydowała o zdrowym podziś dzień układzie społecznym tej dzielnicy. O powodzeniu reform stanowiło praktyczne, nie doktrynalne, rozwiązywanie zagadnień. Dzięki mądrym tym, bo dostosowanym do psychiki ludzkiej praw natury i wymagań gospodarczych reformom, chłop wielkopolski stał się nie tylko obywatelem, ale i jednym z najszlachetniejszych okazów europejskiego włościaństwa.

Okazało się dowodnie i nie poraż pierwszym, stara prawda, że, aby dokonać rewolucji, nie potrzeba być — jakobinem.

—CHŁAPOWSKI! — MARCINKOWSKI.

Jeżeli powstanie w 1846 r. miało w poznańskim przebieg stosunkowo łagodny, że przeto nie przyniosło większych spustoszeń, było to zasługą Karola Marcinkowskiego, Chłapowskiego i garstki pastryków. (E. Raczyński, M. Mielżyński, Arnold Skórczewski, Gustaw Potworowski, Leon Szmitkowski i inni).

„Epidemie spisków” — mówi ksiądz Waleryan Kalinka — „od wyprawy Zaliwskiego... pustoszyły poznańskie, Galicyę i Królestwo”. „Roboty konspiracyjne kosztowały naród bez końca majątków, łez i krwi. To już mniejsza, że one ściągnęły na kraj srogie represje i cięższą niż dawniej niewolę. Niewolą najcięższą jest niemoc wewnętrzna... zamęt pojęć i uczucia, skrzywienie zmysłu moralnego... a do takiego właśnie stanu doprowadziła naród zaraza spiskowania... Zmarniały przez nią dwa pokolenia... które od pracy odbiegły i od rzeczywistości, a utonęły w ciemnych, denerwujących marzeniach. Ile stąd szkody dla narodu — kto to obliczy?”

Ale nie tylko walkę z podziemiem toczyli Karol Marcinkowski i Dezydery Chłapowski. Rozumieli oni, że Ojczyzna pracy oczekuje, nie bałaganienia się i majaczeń. By naród ostał się i przebrnął ten ciężki okres pracy i pracy potrzeba. Skoro nie jesteśmy w stanie, rozumowali, przekształcić niekorzystnej koniunktury politycznej (dziś powiedzielibyśmy — światowej), nie należy bić głową o mur, by ją rozbić, ale robić dla Narodu co się da i jak się da, w miarę kiedy okoliczności pozwalają, bo każdy zmarnowany dzień jest klęską. Okres trudny podobien jest do nocy, po której niezawodnie musi przyjsć świt. Należy przebrnąć noc, by skoro przyjdzie świt, stanąć w pełni sił do szerszej działalności.

Ogromne stały zadania przed twórcami odrodzenia Wielkopolskiego. Należało nie tylko przeprowadzić reformę agrarną, trzeba było ponadto podnieść produkcję, dla wzbogacenia kraju zbytelem, jaki otwierał poczynający się rozmach przemysłowy zachodnich Niemiec. Podniesieniu oświaty ludowej i zawodowemu wykształceniu służyła, założona przez generała w 1837 r. „Szkoła Niedzielna”, redagowana przez X. Borowieza, proboszcza z Gryźny. Był to pierwszy tego rodzaju poryodyk w Polsce. Jasnym było, że sama szlachta nie sprosta zadaniu. Wypadło zaprząć wszystkie siły, by nie dać się zepchnąć do roli paryasów i nie zginać we wzbierającym się morzu germańskim. W porę założone przez Marcinkowskiego Tow. Akc. „Bazar Polski” wychowało kadry rzemieślnicze i kupieckie, mobilizując eksportem rolnym rodzimym kapitał, zapoczątkowało przemysł polski.

„Towarzystwo Naukowej Pomocy” kształciło co wybitniejszą młodzież, wysyłając ją przez udzielani e stypendyów do szkół i na uniwersytety. Tak powstała w poznańskim inteligencja.

Do krzewienia zdrowej oświaty znacznie przyczyniło się duchowieństwo.

Batalia o Wielkopolskę przeciw potęgze germańskiej, podobna walce liliputa z guliwem, została wygrana.

Wóz dobrze zbudowany przez garść ludzi wielkiej miary, toczyć się miał utartym już szlakiem i w latach następnych, po wyśniony rok 1918, choć prochy wódzów spoczywały od dawna w mogile.

## PRZEWRÓT DUCHOWY.

Ale to nie koniec dzieł tego konserwatyście i rewolucjonisty w jednej osobie. Do największej rewolucji, jakiej dokonał, zabrał się generał w pełni sił męskich



z właściwą sobie prostotą. Zamknął się na tydzień i odbył rekolekcje.

Zrozumiał, że jak trwałość gmachu zależy od jego fundamentów, tak od jakości i trwałości poczynań ludzkich stanowiących człowieka z Bogiem stosunek.

Jenerał zaczął co miesiąc przystępować do Sakramentu Pokuty, Komunikacji, a także częściej. Przy pałacu w Turwi zbudował kaplicę, w zaciszu której nie rzadko przed Sanctissimum rozmyślał. Te częste z Bogiem rozmowy, były na owe czasy religijnego upadku czemś niezwykłym.

Zdumieni się poraż wtórego sąsiedzi. Jedni krytykowali, ale rychło znaleźli jenerała licznych naśladowców. Lody zostały przełamane.

Pojmował on, że fali heglowskiej filozofii, która przez uniwersytety niemieckie zatrzymała umysły młodzieży, fali potężnej, której nie oparli się ni Cieszkowski, ni Liebelt, należy przeciwstawić światopogląd niezmienny, bo z opoki Piotrowej wyrosły.

Dom w Turwi stał się ośrodkiem, skupiającym najwybitniejszych mężów kraju, nierzadko odwiedzali ją znakomitości zagraniczne. Turwia, mawiał Adam Potocki, jest naszą „Mekką”, należy by każdy Polak, podobnie jak muzułmanin, odwiedził ją przynajmniej raz w życiu.

Pod wpływem Zmartwychwstańców Kajsiawicza i Semenienki założył jenerał

w r. 1843 „Przegląd Poznański”, pismo pod redakcją St. Koźmiana. Poczytny ten organ rychło zdobywał rząd dusz. Jak uczeniowie i praktykanci turewscy roznieśli po kraju rewolucyjną metodę agrarną, tak „Przegląd Poznański” kształtował dusze i charaktery.

Finis coronat opus. Rewolucja została dokonana. Jej twórców cechował zimny praktyczny rozum, bezmiar umiłowani i poświęcenia.

„Co nam zawsze przeszkadzało” — mówi Kalinka — „do utworzenia zwartego szeregu, to mniej jeszcze różność zdań, jak podobieństwo charakterów, to nasze JA w każdym z nas rozwielenione”. „Zdolność pomagania rządzą jest u Polaków, niż dar inicjatywy”.

„Zacząć potrafim, ale prowadzić dalej dzieło przez drugich stworzone — KONTYNUOWAC, na to nas nie stać, na to nie mamy nawet w naszej mowie wyrazu. (Kalinka — „Jen. D. Chłapowski”, str. 163/4).

I pod tym względem rewolucja wielkopolska stanowi chlubny wyjątek.

Poczęta z głębin chrześcijańskiego ducha, dostosowana do natury człowieka i praw przyrody, a także do cywilizacyjnej i politycznej koniunktury, kierowana nie namietnością ale rozumem, wyrosła z narodowej tradycji, nie zaznała szarpań, zgłiszcz, ni krwi rozlewu.

Przewrót ten, dokonany w najtrudniej-

szych warunkach politycznych, przeszedł spokojnie i owoc wydał dośpiały i bujny, gdy zaś wodzów zbrakło znalazł cichych i pełnych hartu KONTYNUATORÓW.

Być może przyczynił się do tego fakt, na który warto zwrócić uwagę. Jenerał Chłapowski dożył lat 92. Dzieło jego, budowane na prawdzie przetrwało.

Opadły kłamiwe, głupie i złośliwe piany, którymi na niego bryzgano.

Postać jenerała stała się drogowską.

Gdy piany opadły, danem było wreszcie staremu wojownikowi zażyć słońca uznania, miłości i wdzięczności.

Autorytet jenerała był spiżowy i przetrwał dni jego, jednoczył on ludzi długie lata, póki jenerał żył, a nawet gdy go już nie stało.

#### ZAKONCZENIE.

Przypomnieliśmy rodakom jednego z wybitnych twórców odrodzenia wielkopolskiego, nie dlatego, byśmy się łudzili, czy pragnęli, by postać ta mogła być naśladowaną.

Każda epoka wychowuje właściwe jej okazy człowiecze, na ich formację składa się wiele nie powtarzalnych warunków i wpływów. Nie przemierza się dziś Europę galopem końskim, muskułów nie ćwiczy się na szpady szermierką, znikły latyfundja, jak znikły sukmany, brokaty i kontusze. Rewolucja przemysłowa zmieniła wszystkie tego rodzaju rekwizyty, po-

trzebnie czy nie potrzebnie, do szaf muzealnych. Uległy rozkładowi tak bujne w owym czasie ośrodki niezależne, jak dwory, cechy, korporacje itp. Został tylko jeden potężny niezależny ośrodek — Kościół.

Spoleczna struktura Europy uległa zupełnie rozpłyleniu. Poszczególne człowiek, pozbawiony organicznych więzów środowiska, stanął oko w oko wobec potęgi państwa. Zbrakło mocnych niegdyś ogniw pośrednich, wolność jednostek gwarantujących.

Tego rodzaju objawy zwiastują zawsze w historii, nadchodzące nieuchronnie, a długie lata trwające, okresy wszechpotęgi Państwa. Na placu zostaną tylko dwie odwieczne potęgi Kościół i Państwo — Papież i Cesarz.

Skoro współczesna technika składa na długie zapewne lata w ręce nielicznych jednostek, władzę większą nad potęgą Imperatorów rzymskich, musimy Boga prosić i użyć wszystkich stojących do dyspozycji wpływów, by jednostki te przyspieszyły proces dostosowania zdobycy techniki do natury ludzkiej i dokonały potrzebnych przeobrażeń z miłością i zwawstwem nie mniejszym, od grupy patriotów poznańskich, do których miał zaszczyt należeć jenerał brygady Dezydery Chłapowski.

Stanisław Kostka-Rostkowski

Wojciech Bak

## DWAJ POECI

Leżą przede mną w tej chwili dwa zbiorki. Uważam za konieczność ich omówienie nie tylko dlatego, że są to zbiorki niewątpliwych poetów, ale również z tego powodu, że są to tomiki poetów chłopskiego pochodzenia. Jeden — to J. A. Frasiaka: „Urodzony w dżdźble”, a drugi St. Piętaka: „Dom rodzinny”. Oba tomy powinny być bezwzględnie przez krytykę szczegółowo omówione, gdyż nie są one tylko zjawiskiem artystycznym, ale społecznym, pozwalające pewne zagadnienia szczególnie dziś wobec demokratyzacji społeczeństwa ważkie lepiej zrozumieć i dostrzec perspektywy, wynikające z zetknięcia się chłopca z współczesną kulturą.

Optymistycznie nastraja zbiorek Frasiaka. Jest w nim tyle związku z rzeczywistością, że z pełną radością dostrzegamy, jak kultura wzbogaca się o pewne elementy bardzo ważne. Frasiak nie przestaje być chłopcem, nie czuje się on z powodu swego chłopskiego pochodzenia bynajmniej zastraszone, raczej przeciwnie wchodzi w żywą kulturę, przyjmując jej cały spadek historyczny, z poczuciem współgospodarza jej. Nie ma w nim demagogii, nie ma poczucia niższości. Z dumą podkreśla swoje pochodzenie chłopskie i wyraża ze swobodą psychikę chłopską. Wiersze jego są bardzo bliskie ziemi. Sposób ujmowania zjawisk świadczy o tym, że poeta nie dał się zastraszyć, lecz wypowiada swoją odrębność w sposób poetycki ujmujący i świeży, a moralnie zwycięski. On wychodzi z konfliktu zwycięsko. Ślady zbyt poważnego stosunku do pewnych błyskotliwych tendencji są nikłe. Frasiak po poetycku kozyista z „awangardy”, a nie ulega jej. Tradycja kulturalna i nowoczesność zlewają się w jego wierszach w stop oryginalny, bardzo osobisty. W własny niepodrabiany wyraz.

Obrazy wsi są u niego bardzo żywe i wrzuszające. Stosunek do przyrody niezwykle intymny i głęboko zabarwiony. Świat uczuciowy bogaty i subtelny. Ten chłop ma szlachetną skalę uczuciową, o wiele szlachetniejszą niż większość pisarzy inteligenckich. Ma wrodzoną odporność organizmu moralnego. Co zaś szczególnie wrzusza u niego, to łatwość przejścia z kultury stanowej do narodowej i ogólnoludzkiej. To przejście nie jest bynajmniej połączenie z wyparciem się typu kultury stanowej. Jest organicznym wtopieniem się. Duma chłopska Frasiaka, pełna szlachetności, jest zjawiskiem pod każdym względem dodatnim. Nie jest to nienawistna pycha, ale poczucie wartości kultury chłopskiej, niedocenianej przez

innych. Jest w tym istotny demokratyzm, dążący do zrównania a nie dominowania na szkodę obiektywnych wartości.

Zbiorek Frasiaka zaliczyłbym, jeśli o moje najszybsze przekonanie chodzi, do minimalnej ilości tomików prawdziwie poetyckich, jakie się po wojnie ukazały. Socjologicznie jest on zaś niezmiernie ważny i budzi najpiękniejszą wiarę i uczucie do chłopca polskiego.

Nie jest to zbiorek bez wad. Ale wszystkie te wady (do nich zaliczyłbym również nieładny tytuł: „Urodzony w dżdźble”, najniešťuszniej zniechęcający do lektury tych pięknych wierszy) są drobne wobec ich zalet. Można by wyłowić kilka nieszczęśliwych zwrotów lub jakieś 3 lub 4 maniereczne utwory — ale są to drobiazgi wobec wielkich poetyckich piękności, które się w tomiku znajdują. Jest to zbiorek prawdziwego, szczerego poety i szlachetnego człowieka — pięknego typu chłopca polskiego. Lektura tych wierszy sprawia głęboką radość.

Bolesna jest książka Stanisława Piętaka. Głęboko bolesna. Ten niewątpliwie także poeta zabląkał się w kulturze współczesnej. Wartości rozplynęły mu się. Pozostał głęboki, rozpaczliwy żal. Pozostała mu jako jedyny ratunek poezja. I w istocie jest w tomiku kilka bardzo pięknych, czułych, a wstrząsających wierszy. One też stanowią pozycję najwyższą w

dotychczasowym dorobku Piętaka. Jest w nich rozpaczliwy szloch, głęboko przemijający czytelnika. Te kilka wierszy wystarczą, by bez omyłki stwierdzić niewątpliwym fenomenem poetyckim.

W większości jednak utworów jest o-bok wielkiej ilości pięknych momentów tyle manieryzmu, tyle niezręczności, przesady w metaforach itd., że z boleścią dostrzega się, że w poezji występuje to samo zagubienie, jak w świecie wartości moralnych.

Nie chciałbym być źle zrozumianym. Nie chodzi mi o to, żebym uważał, że istnieje jakiś kanon pisania wierszy, którego przekroczenie byłoby w moim pojęciu równoznaczne z błędami poetyckimi. Tak nie jest. Chodzi mi tylko o to, że nawet w zakresie środków wyrazu, przyjętych przez Piętaka, jest dużo niezręczności, przesady i nieopanowania. Środki wyrazu są pogwałcone, wytwarza się odczucie bezstyłowości, amorfizmu, w krótkich zaś poematach melodramatyczności.

A jednak jest to prawdziwy poeta. Nawet najszlachetnym poemacie są fragmenty dużej piękności poetyckiej.

Wydało mi się, że wszystkie wymienione cechy Piętaka wynikają z zahukania tego czułego i delikatnego poety przez tupet mód kulturalnych. Mam — może błędnie — wrażenie, że Piętak chciałby być „nowoczesny” i uległ w pojęciu tej

nowoczesności tupetowi krzykliwych hasetek, w swoim czasie mocno lansowanych przez pewne koła (fantazjotwórstwo), dziś zresztą mocno zdezakualizowanych. Nie ma on krzepkości i odporności organicznej Frasiaka.

A przecież mamy prawo spodziewać się od Piętaka utworów godnych prawdziwego talentu poetyckiego, jakim bez wątpienia jest. W kilku utworach zbiorku są bardzo piękne przykłady, do czego Piętak może dojść.

Nie wątpię też, że talent ten ostrząśnie się z sugestii „kultury społecznej” i że kryzys moralny, który obecnie przeżywa, a którego wyrazem jest książka — w zalamaniach moralnych i artystycznych będzie tylko przejściowym kryzysem. Jestem przekonany, że kryzys ten zostanie szybko pokonany. Przecież Piętak — to autentyczny poeta.

Oba zbiorki dotychczas nie zostały dość szczegółowo omówione tak, jak na to zasługują.

Recenzja obecna nie rości sobie pretensji do zastąpienia takiego omówienia. Jej celem jest tylko przypomnienie książek dwóch prawdziwych poetów i chłopów.

I jeden i drugi wzgląd są tak ważne, że pominąć ich milczeniem, nie wolno. Chłop-artysta staje się coraz częstszym objawem, a siłą rzeczy wkład chłopów do literatury będzie się z każdym rokiem zwiększał.

Wobec tego zjawiska nie może żaden człowiek, mający poczucie odpowiedzialności moralnej, obojętnie stanąć.

Wojciech Bak

## TYDZIEŃ KULTURALNY

### Z ŻYCIA SEKCIARZY.

Z METODYSTYCZNEGO „Pielgrzymstwa Polskiego” dowiedzieliśmy się o zjednoczeniu „kościół” ewangelicko-reformowane i metodystyczne (dziwna mania upierania się przy terminie kościół, gdy się zwalczą — kult świętych — od których kościół wywodzi się słowo). Przy sposobności dowiedzieliśmy się, że „doktrynalnie oba kościoły nie różnią się niczym”. Sprawdza

się powiedzenie Newmana: „że kacerze mimo różnicy poglądów, posiadają niewytłumaczoną wzajemną sympatię i budzą się ze swego odrętwienia jedynie dla wymiany grzeczności i obmyślenia sprzymierzeń”.  
Z tegoż (listopadowego) numeru „Pielgrzymstwa” dowiedzieliśmy się, że Jan Kochanowski był przedstawicielem reformacji polskiej(?), że „Kuncewicz i Bohole sprawcy upadku Polski, byli kanonizowani”, że „Maurras był głosicielem

katolicyzmu ateistycznego”(?) , że „Polska jaśniała, gdy była heretycka i wtedy posłano do niej z Rzymu Niemca(?) Hosena (ve! Hosiusa) — ergo, zdaniem „Pielgrzymstwa” Warmia była wówczas niemiecka — kardynała chmary jezuitów, że „odważny”(?) pisarz Otwinowski wypowiedział się „na jakimś także często-chowskim(?) zebraniu literatów”, że są w Polsce pisarki, które „Matkę Jezusa nazywają kobiecym bóstwem”(?) itp. Słowem stek bredni, podanych w półinteligentnym sioie.

### KRYGOWANIE SIĘ.

PRZEDŚWIĄTECZNY numer „Kuznicy” poświęcony jest walce z warszawskim ośrodkiem literackim PSL. Miażdżenie Szczawieją całym ogro-nem „Kuznicy” przypomina polowanie na mysz przy użyciu armaty ciężkiego kalibru. Przy sposobności „Kuznica” zapytuje triumfalnie: kogóż to znacie w literaturze poza Dąbrowską? Bo my to mamy Iwaszkiewicza, i Herze, i Zasórkę, i Brandysa, i Andrzejewskiego, i — zdaje się jeszcze Otwinowskiego...

Dnia 10 stycznia 1947 r. odbędzie się na cmentarzu powązkowskim (stary cywilny) pogrzeb

s. t. p.

STANISŁAWA CZECHOWICZA

Prezesa „Juventus Christiana”, poległego w powstaniu warszawskim na który proszą

ŻONA, CÓRKA, PRZYJACIELE.



Nie bronimy tu ośrodka literackiego „Gazety Ludowej”, którego rzeczywiście żadna „firma”, poza Dąbrowską, nie reprezentuje. Nazwiska Iwaszkiewicza, Andrzejewskiego, Brezy, Rudnickiego czy Dygata są natomiast rzeczywistymi pozycjami. Nie każdy jednak kto pisze w „Kuznicy” stanowi już pozycję. Wręcz przeciwnie. Pełno tam grafomanstwa lub może nie jeszcze nie mówiących debiutów. Nie o to jednak chodzi. Lepsze słabe debiuty niż zgola nie. Ale „Kuznica” ostatnimi czasy zaczyna przemawiać językiem przedwojennych „Wiadomości Literackich”, dla których poziom stan-

owiło to tylko, co pisali ich współpracownicy i które wkładały wiele wysiłku w wytworzenie „legendy” popieranych przez nich pisarzy. Stąd przedwcześnie wyrosła sława Brezy, stąd długo musiał dochodzić uznania Andrzejewski, stąd nie doceniło się wielkiego talentu Rembeka, stąd do dziś dnia nie ceni się Grabskiego i nie wie, że jedną z najpoważniejszych pozycji książkowych dwudziestolecia była „Żelazna Korona” Malewskiej...

Polityka „Wiadomości” była polityką usuwania z drogi konkurentów, rezerwowania sobie prawa na wydawanie patentu na talent i prawa do pokazywania

„lubienca publiczności” od strony kulis. Tego samego próbuje „Kuznica”. Ostatnio przybrało to formę po prostu krygowania się najmniej utalentowanych jej współpracowników. Otwinowski wypisuje apolożę swej „atosnej „Wielkanocy”. Reszta zespołu „drugiej linii”, dorwawszy się jakiegos — rzekomo u nas wypowiedzianego o nim zdania — ukazuje swe cieżkie karykatury. Patrzenie, patrzenie jak to oni wyglądają.

To rozdymanie talencików było by może bardzo zabawne, gdyby nie było mocno niesmaczne. I gdyby dokonywało się w piśmie mniej mającym materialnych

możliwość do omawiania najważniejszych spraw naszego życia, jakim jest właśnie „Kuznica”.

A na marginesie pisania kto ma kogo warto dodać, że największa grupa prawdziwych literatów znajduje się chyba nie w „Gazecie Ludowej” i nie w „Kuznicy”, ale wśród katolików. Wystarczy wymienić w prozie nazwiska: Kossak, Parandowski, Morstina, Zawieyskiego, Morcinka, Rembeka, Grabskiego, Malewska, Dobraczyńskiego, Zukrowskiego, w poezji Staffa, Kołopki, Bąka, Szewczyka, Zagórskiego, Rymkiewicza... ze nie będziemy wcale wymieniali najmłodszych...

## SZEROKI HORYZONT

# Kieszonkowa Demokracja

Było to w tych czasach, kiedy wojska amerykańskie wywalczyły sobie drogę poprzez Włochy; mniej więcej o 120 mil na północ od Rzymu, napotkali żołnierze V-tej Armii szereg tablic, o jednakowej treści: „Omijaj! Tu jest strefa neutralna!”. Znaki wytyczały linie wokół podnóża jednej z gór, o trzech stromych wierzchołkach.

Koło jednej z tablic stał strażnik, ubrany w starożytną sztrzelbę i ubrany w strój taki, jak gdyby go wyjęto z opery komicznej. Strażnik mówił jakimś narzeczem, ale można było z jego słów zrozumieć jedno: „Nie przekraczajcie granicy — będziemy walczyć o naszą wolność”.

Jeden z inteligentniejszych żołnierzy amerykańskich rozwiązał zagadkę: „Przybyliśmy do San Marino”. Ponieważ jednak jego koledzy nie bardzo wiedzieli, o co chodzi, musieli ich bliżej objaśnić.

### OPOWIEŚĆ FILATELISTY

Jestem filatelista — powiedział — a wszyscy zbieracze marek znają przecież San Marino. Jest to najstarsza i najmniejsza republika na świecie, która ma tylko 38 mil kwadratowych powierzchni. Położona jest u podnóża góry Titano na adriatyckim wybrzeżu Apeinów. Jej głównym przemysłem jest wyrabianie znaczków pocztowych, które kupują zbieracze.

I tak, amerykańscy żołnierze zobaczyli jedną z najdziwniejszych rzeczy na świecie. San Marino nie uznaje wogóle takich wynalazków, jak papierowe pieniądze, podatki dochodowe lub długi państwa, we, podatek od nieruchomości wynosi rocznie 34 centy od sześciolubowego domu.

Niema tam też regulacji ruchu, ani prawa jazdy, gdyż miejscowi automobiliści rozporządzają dokładnie tylko jednym pojazdem. Nikomu się tam nie spieszy, więc zegary nie pokazują 12 godzin, a tylko ich cyferblaty są podzielone na cztery chwilki. Są natomiast aparaty radiowe — choć nie ma radiostacji, są znaczki poczty lotniczej — ale niema samolotów.

Jedyny pomnik bohatera San Marino, wystawiony jest nie dla uczczenia jakiegoś podboju tego bohatera, ale naodwrot — dla upamiętnienia odmowy, jaką zgłosił on propozycjom powiększenia terytorium republiki, wysuniętym przez Napoleona.

### 1.600 LAT DEMOKRACJI

Ale San Marino jest nie tylko kolekcja dziwolągów; w politycznie rozdartej Europie stało się ono jak gdyby małą gablotką wystawową, przedstawiającą demokrację sprzed 1.600 lat.

Ciałem rządzącym republiki jest Wielka Rada, odpowiadająca mniej więcej naszemu Sejmowi, składająca się z 60 członków. Do tej Izby może być wybrany każdy mężczyzna — obywatel republiki, ale tylko na czas nie dłuższy nad 6 miesięcy. Wszyscy mężczyźni muszą głosować, dla wyrażenia prawdziwej opinii narodu, chociaż 30% spośród nich jest analfabeta; konieczność ta jest zrozumiała — przecież jest w San Marino wszystkiego 14.545 mieszkanców. Aby pomóc niepiśmiennym w ich głosowaniu, koło urn wyborczych stoją młode dziewczęta w białych strojach od Pierwszej Komunii. Mieszkańcy uważają, że dziewczęta te nigdy nie zawiodą zaufania, jakim darzą

je wyborcy i wypełnią głosy ściśle wedle ich wskazań.

Wielka Rada deleguje 12 ze swych członków do Senatu. Podczas kiedy działalność Wielkiej Rady graniczą się właściwie do orzekania prawa łaski w stosunku do przestępców politycznych oraz do wydawania niektórych ustaw, to Senat z kolei nominuje 12 obywateli, jako kandydatów na dwa najwyższe urzędy republiki — Kapitana Regenta, odpowiadające naszemu prezydentowi.

O urząd ten nikt się specjalnie nie dobija; kadencja jego jest półroczna, a pensja wynosi 5 dolarów miesięcznie. Ale też i nieprzyjęcie godności jest bardzo źle widziane.

Z tych dwunastu kandydatów głosowa- nie odrzuca sześciu; ich imiona łączy się w pary i wrzuca do srebrnej urny, z której podczas publicznej ceremonii niewidomy chłopiec wyciąga dwa nazwiska — dwóch nowych władców kraju.

Inne stanowiska kluczowe obsadza San Marino już w drodze importu. Z poza kraju pochodzi 12-tu miejscowych policjantów, jedyny sędzia, jedyny duchowny i trzech lekarzy, którzy są opłacani przez skarb republiki, co ich zobowiązuje do gratisowych porad dla wszystkich obywateli.

### TROCHE HISTORII

Republika została założona przez dalmackiego kamieniarza Marinusa, kanonizowanego po śmierci w roku 360 po Narodzeniu Chrystusa. Jego ostatnie słowa brzmiały: „Opuszczam cię, mój narodzie, wolny od wszystkich ludzi”.

Kiedy Napoleon Bonaparte dzielił cały półwysep Apeniński pomiędzy swych krenwnych, zastanawiał się też i nad losem San Marino. Przybyła wtedy do niego delegacja z tej republiki, aby przedstawić mu jej dzieje.

Zaintrygowały one Korsykanina do tego stopnia, że nie tylko uznał niepodległość republiki, ale i zaoferował jej nowe terytory. Nie przyjął ówczesny Regent, jego propozycji, mówiąc: „Nie chcemy ani całej cudzej ziemi, ale też i nie oddamy całej naszej”.

Na początku pierwszej wojny światowej San Marino było neutralne. Jego obywatele zbrali jednak 7.000 dolarów na rannych żołnierzy alianckich i wysłali jednostki szpitalne na zachodni front. Kiedy jednak wojna się przedłużała, piętnastu obywateli San Marino zaciągnęło się do armii włoskiej. Kiedy trzech z nich dostało się do niewoli rozszoszczona ich ojczyzna wypowiedziała wojnę państwu centralnym.

W dziesięciolecie, poprzedzającym wybuch drugiej wojny światowej, Mussolini nie mógł ścierpieć, że na jego podwórku mieści się skrawek ziemi, który był symbolem swobody. Podbój San Marino nie był dlań jednak wart zię reklamy, jaką zgotowałby sobie takim postępowaniem; Mussolini więc szantażem i groźbami zmusił San Marino do dołączenia partii faszystowskiej do wachlarza politycznego. Następnie, kiedy jak zwykle republika szukała w Rzymie swych nowych policjantów i sędziego, dyktator Włoch postarał się, by stanowiska te przypadły w udziale faszystom, Republika musiała ustąpić przed presją; jednak kiedy — jak to leżało w ich zwyczaju — w roku 1937 republika obchodziła dnia 4 lipca narodowe święto Stanów Zjednoczonych, to zaproszono specjalnie z Rzymu amerykańskiego ambasadora Williama Phillipsa do uczestniczenia w uroczystościach. Punktem szczytowym tych uroczystości miało być odsłonięcie pomnika bohatera. Faszyci spodziewali się, że będzie to któryś z hajdamaków faszystowskich; odsłonięto wreszcie posąg — przedstawiał on Abrahama Lincolna.

Lincoln nie jest bowiem dla San Marino obcym człowiekiem; kiedy w Ameryce wybuchła wojna domowa, został on przez republikę mianowany jej honorowym obywatelem. Dziękując za ten zaszczyt,

Lincoln pisał do Regenta dnia 7 maja 1861 roku:

„Jakkolwiek wasza domena nie jest wielka, to kraj wasz jest najbardziej honorowanym w całej historii. Okazał on zawsze prawdę, tak zachęcającą przyjaciół człowieczeństwa, że rząd oparty na zasadach republikanckich, jest tak zdolny do rządzenia, jak i pewny i trwały”.

### BUDŻET ZE ZNACZKÓW

We wrześniu roku 1940 Regenci mianowani przez partię faszystowską, zmusili San Marino do wypowiedzenia wojny Wielkiej Brytanii.

Ale już w miesiąc później jakiś obcy człowiek zjawił się w ambasadzie Stanów Zjednoczonych w Rzymie, prosząc o przekazanie listu do Winstona Churchilla. Okazało się iż była to tajna petycja, podpisana przez tysiąc obywateli San Marino, która między innymi oświadczała:

„Zostaliśmy zmuszeni żelazną dłonią Mussoliniego do wypowiedzenia wojny aliantom. Twierdzenie, że sprzymierzaliśmy się z Osią, jest fałszywe. Niech żyje wolność!”.

A teraz znowu San Marino może całą swą energię skupić na znaczkach pocztowych. Mieszkańcy republiki hodują bowiem bydło tłoczą wino oraz obrabiają kamienie, ale podstawą ich budżetu państwowego jest dochód ze znaczków pocztowych. Dochód ten jest też podstawą

Janusz Kawecki

# Spór o Penelope

## II.

Kiedy próbuję spojrzeć z boku na mój spór z p. Szyfmanem, a z „boku” znaczy: ze stanowiska czytelnika, cała ta historia przy całej swojej historyczności wydaje mi się diable nudna. Więcej nudna i bezcelowa. Bo ani p. Szyfman mnie nie przekona, że nie mam słuszności, smarując sążniste i strasznie czarne znak zapytania nad jego kwalifikacjami dyrektorskimi i zasługami rzekomo na miarę Bogusławskiego, ani naodwrot, ja nie zdołam skłonić p. Szyfmana, by porzucił ślepe samouwielbienie i lojalnie wyszedł naprzeciw moim racjom. Beznadziejna historia. Na pociechę czytelnikowi, choć z niejakim uszczerbkiem własnego autorytetu pozwolę sobie przytoczyć, co powiedział o niej świeżo jeden z moich przyjaciół stary i znakomity autor. Powiedział tak: „Podobniście do dwóch kogutów. Tylko ty wyzywasz do otwartej walki i piejesz publicznie, on zaś, zwykłym szyfmanowskim trybem, skrył się do kojca i chciałby pisać... w rozmowach osobistych”.

Cóż robić, drogi przyjacielu. Nie wszystkie koguty są rycerskie. Przytym, p. Szyfman liczy widocznie na interwencję jastrzębia. Pamiętajsz bajeczkę Lafontaine'a?

Wracam do sporu.

Najprzód więc rzut oka wstecz w przeszłość sprzed lat trzydziestu — czterdziestu. P. Szyfman, młody wówczas krakowianin o niewyraźnym talencie, lecz już wyraźnych ambicjach, napisał sztukę p. t. „Fifi”, która — notując mimochodem — dała zjadliwym kolegom powód do przefastygowania jego nazwiska na: Sziszi. Dyr. Ludwik Solski, który kierował teatrem im. Słowackiego, po Kotarbińskim, wystawił „Fifi”, sztuka jednak poklasku nie zyskała i wyzapała się na afiszu czempredzej razem z autorem. Ów

niepomyślny debiut, pozbawiwszy p. Szyfmana perspektyw na sławę autorską bynajmniej nie rozczarował młodzieńca do teatru, do którego istnieją wszak i inne wejścia. Goła i inteligentna haute Cracovie wyżywała się w „Zielonym baloniku”, kabarecie literackim (w formie oryginalnej i nie do powtórzenia), gdzie grono bujnych i szelmowsko udułnionych artystów, pisarzy, malarzy i muzyków, z dużym temperamentem zabawiało się w chłostanie kultury. P. Szyfman poczuł nagle smak do kabaretu. Jak się zdaje w Krakowie szanse miał żadne, zwinął tedy lary i piernaty i wywedrował za kordon, do Warszawy. Tu założył kabaret na wzór „Zielonego balonika”. Impreza nazywała się „Momus”. Z faktu, że na jałowym i ubogim w takie imprezy gruncie warszawskim „Momus” p. Szyfmana przetrwał lat parę, wyciąga się dzisiaj najzupełniej mylne wnioski i trąbi „o rzetelnych walorach i wysokim poziomie”. Błaga. Naogół „Momus” był to popolity handelek z artystyczną tandetą i nie zostało się po nim absolutnie nic za wyjątkiem uroczej piosenki nieoszacowanego Krupy, Wiktora Krupińskiego.

Lecz od „Momusa” zaczęła się błyszcząca kariera p. Szyfmana. W kabarecie zetknął się z ziemianami i finansistami, którzy mu sypnęli pieniądze na budowę nowego teatru w Warszawie, w teatrach rozkochanej, wychowanej w górnych i chmurnych tradycjach „Rozmaitości”.

O tym, jak p. Szyfman poprowadził i prowadził Teatr Polski, napiszę oddzielnie.

I spór skończy.

Janusz Kawecki

**Sprostowanie.** Do „Sporu o Penelope” w poprzednim numerze zakradła się omyłka. Początek zdania w 46—47 w. I szpalty powinien brzmieć: „Rzecz inna, że to, czego nie zrobiłem, jako krytyk, zrobiłem, jako felietonista...”

JAN DOBRACZYŃSKI  
**„SZATA GODOWA”**  
 powieść  
 stron: 224      Zł 320.—  
 Księgarnia  
 ZDZISŁAW GUSTOWSKI  
 P o z n a Ń  
 Wielka 10      Św. Marcin 34

Redaguje: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 880 71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.  
 Redaktorzy przyjmują: W. Bienkowski we wtorki, czwartki i piątki g. 11—13, J. Dobraczyński w poniedziałki i środy g. 11—13, W. Kętrzyński w środy g. 13—14,30, soboty g. 12—14.

Prenumerata miesięczna 40 złotych, Kwartalna 120 złotych.

Złotono w Zakł. Graf. „Dzwignia” Włok 24 B-17347

Odbito w Drukarni „Czytelnik” Nr 2, Marszałkowska 3/3.

Wydawca: Kolegium redakcyjne.